NR 7 (1828) 13 LUTEGO 2024

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

ATAK NA SERCE demokracji

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 8,50 zł (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- EMERYTURY STAŻOWE. TĘ SPRAWĘ TRZEBA WRESZCIE ZAŁATWIĆ
- TRAKTOREM NA ZIELONY ŁAD

PRENUMERATA 2024

ZMIANY DOTYCZĄCE PRENYMERATY „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zapraszamy do **zamawiania prenumeraty** „Tygodnika Solidarność”. Można to zrobić poprzez kolporterów, takich jak: **Kolporter sp. z o.o.**, **Garmond Press SA**, poprzez **Pocztę Polską**, a także w **redakcji „Tygodnika”**.

Prenumerata redakcyjna wysyłana jest za pośrednictwem Poczty Polskiej na wskazany adres (prenumerator **nie ponosi kosztów przesyłki**).

Tygodnik Solidarność jest w stałej sprzedaży w salonikach prasowych Kolporter sp. z o.o., Garmond Press SA, sieci Empik oraz wybranych placówkach pocztowych.

Cena okładkowa „Tygodnika Solidarność” w 2024 roku wyniesie **8,50 zł.**

Cena w prenumeracie egzemplarzowej „Tygodnika Solidarność” w 2024 roku **wynosi tylko** ..... **7,50 zł**

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ W WERSJI PAPIEROWEJ ORAZ ELEKTRONICZNEJ NA 2024 ROK

I KWARTAŁ	**97,50 ZŁ***	(NUMERY 1–13)
II KWARTAŁ	**97,50 ZŁ**	(NUMERY 14–26)
I PÓŁROCZE	**195,00 ZŁ**	(NUMERY 1–26)
III KWARTAŁ	**97,50 ZŁ**	(NUMERY 27–39)
IV KWARTAŁ	**97,50 ZŁ**	(NUMERY 40–53)
II PÓŁROCZE	**195,00 ZŁ**	(NUMERY 27–53)
ROK	**390 ZŁ**	(NUMERY 1–53)

* wszystkie ceny podane są w kwocie brutto

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Dla Solidarności emerytury stażowe to do dziś niespełniony 14. Postulat Sierpniowy. Jego realizacja po ponad 44 latach oczekiwania wydaje się jednak dzisiaj bliższa niż kiedykolwiek.

W ubiegłym tygodniu Sejm zdecydował o przekazaniu projektu do prac w komisji sejmowej. Po powtórnym pierwszym czytaniu wnioskowały o to wszystkie kluby i koła poselskie.

Przypomnijmy, obecny obywatelski projekt ustawy o emeryturach stażowych opracowany przez Solidarność został złożony w Sejmie we wrześniu 2021 roku po zebraniu pod nim ponad 235 tys. podpisów. Zakłada on prawo do emerytury dla osób, które osiągnęły okres składkowy i nieskładkowy wynoszący odpowiednio 35 lat dla kobiet i 40 lat dla mężczyzn. Po złożeniu projektu w Sejmie w grudniu 2021 roku odbyło się jego pierwsze czytanie. Potem jednak utknął w sejmowej „zamrażarce", gdzie przeleżał aż do końca kadencji.

W ubiegły czwartek odbyło się jego powtórne pierwsze czytanie. Wtedy okazało się, że panuje polityczna zgoda na dalsze jego procedowanie. Czy wobec tego emerytury stażowe mają szansę niebawem wejść w życie? Mając na uwadze doświadczenie z poprzedniej kadencji Sejmu (wówczas również była ponadpartyjna zgoda na stażówki, a mimo to projekt utknął w komisji), warto w tej kwestii na razie zachować umiarkowany optymizm i trzymać rękę na pulsie. Dodatkowym smaczkiem jest złożenie przez Lewicę własnego, choć łudząco podobnego projektu. Zgodnie z zapowiedziami projekty mają być procedowane razem, co może budzić obawy o to, że Lewica zwyczajnie próbuje przypisać sobie zasługi we wprowadzeniu emerytur stażowych. Troszkę to nieeleganckie, ale z drugiej strony niewątpliwie cieszy fakt, że solidarnościowy postulat wprowadzenia emerytur stażowych spotyka się z powszechnym uznaniem. Miejmy nadzieję, że zaowocuje to wreszcie wprowadzeniem tego tak oczekiwanego społecznie projektu.

Realizacja 14. Postulatu Sierpniowego wydaje się dziś bliższa niż kiedykolwiek.

NA DOBRY POCZĄTEK **WASIUKIEWICZ**

13.02.2024
WYDANIE Nr
7

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Atak na serce demokracji

6 **Mobbing prezydenta mobbingiem demokracji**

12 **Skąd my to znamy?**

16 **Dopaść prezydenta, spacyfikować Polskę. Rozmowa z prof. Z. Krasnodębskim**

20 **Prawdziwi partnerzy, prawdziwi przyjaciele**

KRAJ

Państwo się sypie 24

Rząd Tuska będzie kluczyć wokół sprawy reparacji. Rozmowa z A. Mularczykiem 27

ZAGRANICA

Traktorem na Zielony Ład 30

Ukraińska wojna toczy się również pod Moskwą 34

USA: wybory i inwazja migrantów 36

Zwycięstwo z kroplą goryczy 40

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA 42

KULTURA

Znudziłam się marudzeniem i postanowiłam działać. Rozmowa z L. Górą 44

HISTORIA

Droga do zwycięstwa 47

Anna, której miało nie być w encyklopedii 48

„My nigdy nie poddamy się” 52

ZWIĄZEK

Praca staje się bezpieczniejsza 55

Co w związku 56

Najwyższy czas na emerytury stażowe 58

FELIETONY:

GAC 5

BINIECKI 23

PŁUŻAŃSKI 33

KRYSZTOPA 66

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 11

PRAWO 62

SPORT 64

TYGODNIK Solidarność

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu:
Michał Ossowski

Redaktor naczelny:
Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Robert Wąsik, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz:
Waldemar Biniecki, Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Cezary Krysztopa, Tadeusz Płużański, Rafał Woś

Stali współpracownicy:
Andrzej Berezowski, Paweł Gabryś-Kurowski, Ewa Górska, Piotr Łopuszański, Tomasz Oleksiewicz, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich

Łamanie:
Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki felietonistów: Barbara Sadowska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu: Konrad Wernicki
tel. 510 075 689, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.
ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank
58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

Kolportaż: tel. 22 882 27 80, e-mail: kolportaz@tygodniksolidarnosc.com

Karol Gac

„Tak” dla rozwoju!

Dyskusja wokół powstania Centralnego Portu Komunikacyjnego zaczyna zataczać coraz szersze kręgi. Można wręcz odnieść wrażenie, że tworzy się wokół tego tematu ruch społeczny, zdecydowanie idący w poprzek dotychczasowym podziałom politycznym. I dobrze. Na budowie CPK powinno bowiem zależeć wszystkim tym, którym na sercu leży dobro Polski.

Z debatą wokół CPK od samego początku był podstawowy problem. Podczas gdy po stronie zwolenników mieliśmy szereg argumentów odnoszących się do różnych obszarów, a także specjalistyczne analizy, o tyle po drugiej stronie paliwem były niemal wyłącznie emocje. W przestrzeni publicznej próżno szukać jakichkolwiek merytorycznych argumentów przeciwko tej inwestycji. Zamiast tego byliśmy raczeni hasłami dotyczącymi „gigantomanii” czy „łąki w polu”.

Nie ma w tym oczywiście przypadku. Projekt CPK nie był zły z obiektywnych powodów, lecz dlatego, że był „PiS-owski”. Choć brzmi to absurdalnie, gdy weźmie się pod uwagę, że mówimy o potężnej inwestycji, która może przenieść nasz kraj na wyższy poziom, to jednak taka jest smutna prawda. CPK znalazł się pod ostrzałem tylko dlatego, że to rząd PiS zaczął o nim mówić i go realizować. A skoro tak, to trzeba go było atakować na różne sposoby. Kwintesencją tego sposobu myślenia była wypowiedź Rafała Trzaskowskiego, który zapytał: „Po co nam CPK, skoro mamy lotnisko w Berlinie?”. Cóż, zaiste symboliczne pytanie na wielu różnych poziomach.

Teraz, gdy ówcześni krytycy CPK przejęli władzę, nadszedł czas decyzji. Wydaje się, że obecnie rząd gra na przeczekanie, czego przykładem są zapowiedzi audytu. W istocie z politycznego punktu widzenia nowa koalicja ma problem. Z jednej strony PO zainwestowała bardzo wiele w krytykę CPK, z drugiej zaś musi się zmierzyć z oczekiwaniami społecznymi i postawą koalicjantów. Oczywiście, już nie takie przeszkody Donald Tusk deptał.

Należy mieć jednak nadzieję, że pomimo pierwszych decyzji personalnych (np. Maciej Lasek pełnomocnikiem ds. CPK albo przeciwnicy CPK w Radzie Nadzorczej) wygra jednak interes narodowy. Niech już Platforma przemianuje tę nazwę, powsadza tam swoich ludzi, ale niech dokończy ten projekt. Projekt, który może nas wznieść o kilka poziomów wyżej.

Dość już karmienia Polaków mikromanią. Dość wmawiania nam, że się „nie da”. Dość odkładania wszystkiego na potem. Polacy zasługują na to, żeby nasz kraj się rozwijał. Zasługujemy na to, żeby Polska się bogaciła, a my wraz z nią. Trzeba tylko chcieć i nie szukać wymówek. W związku z tym – „tak” dla CPK, „tak” dla elektrowni atomowych, „tak” dla rozwoju Polski. „Tak” dla naszej przyszłości.

Autor jest dziennikarzem portalu DoRzeczy.pl.

PRENUMERATA

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność” można zamówić na cztery sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS” – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;
2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;
3) „RUCH” SA na stronie: prenumerata.ruch.com.pl;
4) Kolporter SA na stronie: kolporter.com.pl.

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- I półrocze – 195,00 zł (od nr. 1 do 26)
- III kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II półrocze – 195,00 zł (od nr. 27 do 53)

Roczna prenumerata – 390,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 240 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

MOBBING PREZYDENTA

mobbingiem demokracji

Fot. M. Żegliński

W polskiej demokracji nie ma bardziej demokratycznego organu niż Prezydent RP. Dlatego trwający dziś atak na powagę, znaczenie i sprawczość tego urzędu może mieć dla nas wszystkich **straszliwe konsekwencje**.

Rafał Woś

Jak nazwać to, co dzieje się ostatnio wokół prezydenta RP Andrzeja Dudy? Obśmiewanie i lekceważenie? Nie, to już jest coś więcej i taki opis nie oddaje całej powagi sytuacji, w której się znajdujemy. Pełzający zamach stanu albo siłowa zmiana ustroju? Też nie i nie ma co zbyt wcześnie sięgać po najcięższe zarzuty, gdyż zaraz może zabraknąć języka do nazwania tego, co się tu naprawdę rozgrywa.

W tym momencie proponuję nazwać to wszystko zbiorczo „aktem politycznego mobbingu". Mobbing jest oczywiście zjawiskiem dobrze znanym przede wszystkim ze świata pracy. Polega na długotrwałym i uporczywym nękaniu i zastraszaniu ofiary. Celem mobbingu jest poniżenie oraz ośmieszenie. To w najlepszym razie wyżywanie się i odreagowanie własnych frustracji czy kompleksów przez mobbera, wykorzystującego aktualną pozycję oraz instytucjonalną przewagę. Ale czasem bywa przecież gorzej – mobbing jest bardzo często perfidną przemocową strategią nakierowaną na trwałe izolowanie, a w końcu i wyeliminowanie ofiary z gry bo w czymś mobberowi przeszkadza albo go jakoś uwiera.

Idźmy dalej. Skonfrontowany z zarzutem mobbingu mobber zazwyczaj udaje, że... w ogóle nie wie, o co chodzi. Przyłapany twierdzi, że przecież on „niczego nie zrobił" i „nie przekroczył dopuszczalnych granic". Dociskany przyzna, że owszem, może i bywa ostry, no ale przecież ofiara „sama go prowokowała". Bo po co jątrzyła? Po co się przeciwstawiała? Dlaczego upierała się przy swoim, zamiast przyjąć punkt widzenia silniejszego? Wielu przemocowców do końca przekonuje nawet, że to nie oni mobbowali. Ich zdaniem było dokładnie odwrotnie – to oni zostali przez ofiarę zaatakowani, a sami „tylko się bronili". Te chwyty – po wielokroć opisane w literaturze przedmiotu – mają oczywiście na celu przesłonienie rzeczywistości, stworzenie takiego języka i takich okoliczności, w których mobbing może sobie kwitnąć w aurze pozornego legalizmu i powszechnego przyzwolenia, de facto zatruwając i niszcząc relacje, atmosferę, procedury i hierarchię w miejscu, w którym się pojawił. Oczywiście duża polityka to nie jest czysta relacja pracy. Nigdy nie będzie i nie o to tu przecież chodzi. Rzecz raczej w rozpoznaniu i opisaniu za pomocą hasła „mobbing" pewnego alarmującego zjawiska, które na naszych oczach zatruwa nam właśnie życie publiczne, a w konsekwencji może rozwalić naszą wspólnotę polityczną w drobny mak.

OD PAŹDZIERNIKOWYCH WYBORÓW PARLAMENTARNYCH MAMY NIEUSTANNE NĘKANIE, PROWOKOWANIE I ZASTRASZANIE PREZYDENTA ANDRZEJA DUDY PRZEZ ZWYCIĘSKĄ ANTYPISOWSKĄ KOALICJĘ.

Droga legalna, droga gangsterska

Bo podobieństw jest w tym przypadku przecież wiele, niepokojąco wiele. Od październikowych wyborów parlamentarnych mamy nieustanne nękanie, prowokowanie

i zastraszanie prezydenta Andrzeja Dudy przez zwycięską antypisowską koalicję. Czy ma to wymiar tylko taktyczny i służy głównie usuwaniu przeszkód na drodze robienia rzeczy po swojemu? Może jest efektem przekonania o własnej absolutnej słuszności, w które popadli zwycięzcy z 15 października? A może cele są bardziej strategiczne, a długofalowo chodzi o ugruntowanie władzy obozu liberalnego tak, by nie wyślizgnęła mu się ona już nigdy z rąk? Zawieśmy te pytania, bo dziś jeszcze brak nam wiedzy, by na nie w pełni odpowiedzieć. Spójrzmy raczej na to, co się dzieje. I na konsekwencje, które już zaczynają być widoczne.

Zaczęło się od próby wymuszenia na głowie państwa, by zrezygnowała z powierzenia misji stworzenia rządu Mateuszowi Morawieckiego. Duda nie uległ tamtym zaklęciom. Nie musiał. Tłumaczył cierpliwie, że zgodnie z uświęconym tradycją uzusem politycznym (w Polsce i nie tylko u nas) jako pierwszy szanse na stworzenie gabinetu otrzymuje właśnie przedstawiciel największej partii w Sejmie. I dopiero gdy mu się to nie uda, do gry wchodzą – zgodnie z Konstytucją RP – kolejni kandydaci. Jednak polityczny anty-PiS nie chciał czekać. Domagał się władzy od razu i natychmiast. A gdy jej nie dostał, zakrzyknął urażony, że Duda jest „prezydentem partyjnym".

To był jednak dopiero początek. Tuż po powołaniu rządu Donalda Tuska ministrowie Bartłomiej Sienkiewicz i Adam Bodnar przystąpili do zaprowadzania swoich porządków w mediach oraz w instytucjach władzy sądowniczej. Jako większościowy rząd mają do tego prawo, ale nie są wszechmocni. Także oni – przy całym subiektywnym przekonaniu o własnej racji – muszą działać w ramach obowiązujących reguł, a gdy je przekraczają, powinni liczyć się z zarzutem osuwania się w tyranię. Tak działa władza. Tak działa demokracja. Na tym polega każda umowa społeczna.

Przed rządem Tuska były więc dwie drogi. Jedna dłuższa i bardziej wyboista, ale niebudząca wątpliwości. Drugą był trochę gangsterski skok na skróty za pomocą wątpliwych metod oraz współczesnej „falandyzacji prawa". Z punktu widzenia rządu Tuska wyboistość pierwszej ścieżki polegała właśnie na tym, że czekała ich na niej konieczność kohabitacji z Andrzejem Dudą. Prezydentem, z którym – aż do wyborów roku 2025 – nowa władza musiałaby się jakoś ułożyć i dogadać. Jeszcze pół roku temu większość antypisowskich polityków i komentatorów powiedziałaby pewnie, że nie mają z tym problemów, bo przecież taka konieczność wykuwania kompromisu jest w gruncie rzeczy dobra i właśnie na tym polegają wmontowane w system liberalnej demokracji „bezpieczniki". Oto wszechwładza i poczucie własnej omnipotencji rządu są temperowane przez inny ośrodek władzy. Czy to nie na tym miała się zasadzać demokracja? Czy to nie w obronie takich mechanizmów polityczny anty-PiS chodził na niejedną barykadę przed październikiem roku 2023?

Ale wtedy było wtedy, a teraz jest teraz. I teraz rząd Tuska zdecydował, że żadnych kompromisów z alternatywnym ośrodkiem władzy nie będzie. Była to decyzja brzemienna w skutki, których historyczny i polityczny wymiar dopiero poznamy. I tak oto – po grudniu 2023 roku zaczęło się zjawisko, którego jeszcze nigdy w dziejach polskiej demokracji nie mieliśmy. Polega ono na celowym i systematycznym omijaniu przez rząd potencjalnego weta ze strony prezydenta. I to jeszcze zanim to weto będzie w ogóle mogło zaistnieć. Taka jest geneza i przyczyna swoistej „uchwałokracji", którą podążają od grudnia ministrowie Adam Bodnar oraz Bartłomiej Sienkiewicz, a do pewnego stopnia także marszałek Sejmu Szymon Hołownia. To sięganie po akty niższego rzędu tam, gdzie – w sposób oczywisty – konieczna jest ustawa,

W POLSCE MAMY TAKI SYSTEM, W KTÓRYM TO PREZYDENT JEST SERCEM DEMOKRACJI. MA DO TEGO NAJMOCNIEJSZY I NAJBARDZIEJ BEZPOŚREDNI MANDAT.

SZANUJĄC PREZYDENTA, AUTOMATYCZNIE SZANUJEMY RZECZPOSPOLITĄ.

a potem wymuszanie posłuszeństwa wobec podjętych w ten sposób decyzji za pomocą nagiej siły – tak jak w przypadku siłowego wejścia do mediów publicznych. Tak samo było przy wygaszeniu mandatów poselskich Mariusza Kamińskiego oraz Macieja Wąsika. Ten sam schemat może zostać w każdej chwili użyty w przypadku Trybunału Konstytucyjnego. Ale i to przecież nie jest koniec. Bo – powiedzmy sobie szczerze – raz użytego tricku z uchwałokracją rząd Tuska (i każdy kolejny) może użyć w dowolnym punkcie w przyszłości. Ten Rubikon został już przekroczony.

Publicystyczny impeachment

Wkroczenie na taką – jawnie kpiącą z fundamentalnych zasad ładu konstytucyjnego – ścieżkę wprowadziło nowy rząd na oczywisty kurs kolizyjny z prezydentem. A to z tego prostego powodu, że zgodnie z art. 126 „Prezydent RP czuwa nad przestrzeganiem konstytucji RP". Nie reagując, prezydent Duda po prostu nie spełniałby swoich obowiązków. Byłby zbędny. Równie dobrze mogłoby go nie być, a w Pałacu Prezydenckim mogłaby urzędować paprotka. Oczywiście można się było spodziewać tego, że kolejne apele, listy oraz interwencje prezydenta były – i są – traktowane przez czołowych polityków antypisu (oraz przychylnych im mediów) jako wyraz niepotrzebnego jątrzenia, wkładania kija w szprychy i przeszkadzania „obozowi demokratycznemu" w jego samozwańczym naprawianiu demokracji. Ten korkociąg trwa i nie widać, by miał się prędko zakończyć. W przestrzeni medialnej towarzyszy temu zjawisko „medialnego impeachmentu". Oto prorządowe media pełne są wezwań mających otrzaskać Polki i Polaków z myślą, że ten prezydent jest jakiś felerny i że w zasadzie nie wiadomo, po co siedzi on tam pod tym swoim żyrandolem w Pałacu przy Krakowskim Przedmieściu. „Dzięki nieprzewidywalności głowy państwa mamy do czynienia z politycznym rozdwojeniem jaźni, labilnością po stronie Pałacu Prezydenckiego, rewanżyzmem, alternatywną wersją prawa, a przede wszystkim z niepewnością, która będzie trwać aż do wyborów prezydenckich" – pisze w Interii Przemysław Szubartowicz. „Pana już nie ma, panie prezydencie. Owszem, może pan jeszcze mącić i utrudniać, ale biegu rzeki pan nie zablokuje. Pana formacja to przeszłość i pan sam to przeszłość" – dodaje Jarosław Kurski w „Gazecie Wyborczej". A to tylko pierwsze z brzegu przykłady, jak działają mobbing i nagonka.

> JESZCZE PÓŁ ROKU TEMU WIĘKSZOŚĆ ANTYPISOWCÓW POWIEDZIAŁABY, ŻE KONTROLA RZĄDU PRZEZ INNY SILNY OŚRODEK WŁADZY TO BEZPIECZNIK DEMOKRACJI.

Zajęci codziennym sporem zagończycy polityczni zdają się nie dostrzegać, że mamy tu do czynienia z bardzo niebezpiecznym zjawiskiem. Oto na naszych oczach faktycznie zmieniają się reguły ustrojowe polskiego państwa. I nie jest to zmiana na lepsze. Gdy Polska przechodziła po roku 1989 swój „moment konstytucyjny", pytanie o model naszej demokracji było oczywiście otwarte. Z jeden strony wzorcem były systemy prezydenckie takie jak we Francji czy USA – z silną i wybraną w bezpośrednim (lub prawie bezpośrednim – jak w Stanach) głosowaniu powszechnym. Takie rozwiązanie miało wielu zwolenników, zwłaszcza w obozie bliskim znajdującemu się wówczas u szczytu politycznej fortuny Lechowi Wałęsie. Jego przeciwnicy tego jednak nie chcieli. Obawiali się systemu wodzowskiego. Stawiali na modele znane z krajów takich jak Niemcy albo Włochy, gdzie władza spoczywa w rękach silnego rządu opartego na parlamentarnej większości, a prezydent sprawuje funkcje czysto reprezentacyjne. Taki prezydent nie musiałby być nawet politykiem i zupełnie spokojnie mógłby go wybierać parlament. Byle tylko ładnie wyglądał na zdjęciu w roli „strażnika żyrandola".

Czy Rzeczpospolitą diabli biorą?

Ale my w konstytucji roku 1997 zdecydowaliśmy się spotkać w pół drogi. Chcieliśmy mieć prezydenta będącego kimś więcej niż „strażnik żyrandola". Nasz prezydent miał stać się przeciwwagą dla rządu zbyt silnego i zbyt mocno przekonanego o swojej świętej racji. Ten nasz prezydent miał uczyć rządzących negocjowania swoich zamiarów. I właśnie dlatego – aby posiadał siłę do realizacji swojego kluczowego zadania – zdecydowaliśmy się wybierać go w wyborach powszechnych

i bezpośrednich. Właśnie z powodu tak silnej demokratycznej legitymacji Prezydent RP jest kimś dużo więcej niż „strażnikiem żyrandola". Dopiero takiemu prezydentowi Konstytucja RP daje wiele uprawnień realnego wpływu na proces stanowienia prawa w Polsce. Prezydent ma prawo weta, może rozwiązać parlament, jest „najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej Polskiej" oraz „gwarantem ciągłości władzy państwowej". To dlatego to on – a nie nikt inny – „czuwa nad przestrzeganiem konstytucji" i „stoi na straży suwerenności i bezpieczeństwa".

W efekcie prezydentem jest w Polsce polityk. Nie najbardziej profesorski z profesorów. Nie najbogatszy z bogatych. I nie najładniejszy z ładnych. Ale właśnie polityk, który przeprowadza kampanię, przekonuje do siebie obywateli i w końcu wygrywa. Taka droga jest konieczna, bo właśnie to demokratyczne zwycięstwo wyborcze ma dawać polskiemu prezydentowi ostateczny autorytet, być kolorem atutowym w każdym sporze kompetencyjnym. Rząd? Owszem, rządzi i trzyma ręce na klawiaturze państwowej aparatury, ale nawet rząd ma słabszy od prezydenta mandat demokratyczny. W wyborach parlamentarnych może być tak, że obywatel głosował na X, a dostał rząd pod wodzą Y albo Z, bo w międzyczasie X, Y i Z postanowili między sobą o zawiązaniu koalicji. Z prezydentem jest inaczej – tu wybór jest bezpośredni. W demokracji bardziej demokratycznie już się nie da.

W tym sensie trudno zrozumieć argumentację obecnego rządu oraz jego komentatorskiej otuliny odbierających Andrzejowi Dudzie mandat do wykonywania obowiązków Prezydenta RP. Bo niby na jakiej podstawie? Bo w październiku 2023 roku większość Polaków poparło anty-PiS? A w jakim sensie umniejsza to mandat prezydenta Andrzeja Dudy? I to uzyskany dwa razy. W 2015 roku z poparciem 8,6 miliona, a w 2020 aż 10,5 miliona głosów. Podnoszony jest argument, że w roku 2015 był politykiem niekoniecznie z pierwszego szeregu, ale przecież już za drugim razem nikt nie może powiedzieć, że nie wiedział, na jakiego Dudę głosuje. Oczywiście, że wielu wybrało w wyborach 2015 i 2020 roku kogoś innego. I wielu się z decyzjami albo wypowiedziami zwycięzcy tamtych wyborów nie zgadza. Wolny kraj. Nie ma obowiązku zgadzania się z prezydentem. Jest jednak obowiązek szacunku wobec urzędu. Wobec serca polskiej demokracji.

Obywatela Andrzeja Dudy można nie lubić. Obywatelem Andrzejem Dudą można nawet gardzić, ale Andrzeja Dudę trzeba szanować, gdy wykonuje obowiązki Prezydenta RP, bo jest obecnie głową polskiego państwa. Podobnie jak każdego, kto będzie sprawował ten urząd w przyszłości. Nie wolno przecież dawać sobie (ani własnemu środowisku) przyzwolenia na odmawianie prezydentowi mandatu tylko dlatego, że widzi rację stanu inaczej niż my. Nie wolno twierdzić, że jedynym prezydentem, którego autorytet uznajemy, jest tylko taki prezydent, którego popieramy my. Bez takiej akceptacji demokracja nie będzie możliwa, a umowa społeczna zawiśnie w próżni – działając tylko do momentu, dopóki rządzą nasi. Potem zaś pójdzie w kompletną rozsypkę i w zasadzie każdy, kto tego nie rozumie, nie bardzo powinien nazywać siebie demokratą.

Trzymając się tej zasady, uniknie-my wielu pułapek, bo szanując prezydenta, automatycznie szanujemy Rzeczpospolitą. A jeśli nie szanujemy Rzeczpospolitej, to... no cóż... To znaczy, że Rzeczpospolitą diabli biorą. A tego – wierzę gorąco – nie chce nikt z uczestników polskiego sporu. S

NIE WOLNO TWIERDZIĆ, ŻE JEDYNYM PREZYDENTEM, KTÓREGO UZNAJEMY, JEST TYLKO TAKI, KTÓREGO POPIERAMY MY.

PREZYDENTEM JEST W POLSCE POLITYK. NIE NAJBARDZIEJ PROFESORSKI Z PROFESORÓW. NIE NAJBOGATSZY Z BOGATYCH. I NIE NAJŁADNIEJSZY Z ŁADNYCH. ALE WŁAŚNIE POLITYK.

KARUZELA BLOGERAMI

ROSEMANN

OSTATNI BASTION

Ktoś mógłby uznać to za gruby żart, gdybym stwierdził, że żaden z wcześniejszych prezydentów w większym stopniu niż dzisiaj Andrzej Duda nie zasługiwał na określenie „prezydent wszystkich Polaków". Paradoksalnie to stwierdzenie jest uprawnione przede wszystkim dlatego, że prawie nikt, bez względu na to, czy popiera obecną władzę, czy też opozycję, nie powie dzisiaj z przekonaniem, że Andrzej Duda jest jego prezydentem. W sytuacji podziałów, które teraz są wśród Polaków tak boleśnie widoczne, jest to dla prezydenta doskonała rekomendacja.

Prawdę powiedziawszy, pozycja Andrzeja Dudy chyba nigdy dotąd nie była zarazem tak mocna, ale i tak trudna. O tym drugim świadczy fakt, że ma przeciwko sobie nie tylko tych, którzy byli przeciwko niemu od początku sprawowania urzędu, ale i sporą grupę dotychczasowych zwolenników. Ci pierwsi, w swoim bardzo osobliwym stosunku do konstytucji i jej zapisów, uważają, że skoro ich wybrańcy wygrali wybory parlamentarne, prezydent powinien bezwzględnie się im podporządkować albo wręcz złożyć urząd. Ci drudzy, także mocno abstrahując od tego, co konstytucja stanowi w kwestii prezydenckich uprawnień, domagają się od prezydenta wetowania tego, czego wetować mu nie wolno, rozwiązywania tego, czego rozwiązać nie może, i wprowadzania tego, czego wprowadzać prawo mu nie pozwala.

Zapytać można zatem, co niby świadczyć ma o tej wyjątkowo silnej pozycji prezydenta Andrzeja Dudy. Niewątpliwie jest on w gorszej sytuacji niż w 2015 r., gdy obóz, który go wystawił, brał całą pulę władzy. Tyle że wtedy liderzy partii, która go wystawiła i razem z nim wygrała wybory, zaczęli niemal natychmiast robić wiele, by jego pozycję osłabić. Tu można tak nawiasem pokusić się o uwagę na temat nierychliwości Bożej sprawiedliwości.

Wracając do tego, co w Dużym Pałacu i wokół niego aktualnie się dzieje, trzeba powiedzieć, że Andrzej Duda jest teraz ostatnim bezpiecznikiem zapobiegającym pogrążeniu się państwa w tej karykaturze demokracji i praworządności, którą serwuje nam Donald Tusk przy szczególnym wsparciu Adama Bodnara i dużym zrozumieniu ze strony naszych „przyjaciół" z zagranicy. Ma to swoje konsekwencje w postępowaniu wspomnianych „demokratów" wobec prezydenta. Ostatnim ich pomysłem, rzucanym na razie półgębkiem i nieoficjalnie, jest referendum w sprawie skrócenia jego kadencji. Nie powiem, zwolennikom „demokratów" bardzo się to podoba.

Te półtora roku, które – przynajmniej w tej chwili – pozostało Andrzejowi Dudzie do końca drugiej kadencji, będzie niełatwym czasem ścierania się z politykami, dla których jest ostatnią przeszkodą, i z mediami, które niemal wszystkie są już „wolne" i nie będą się wahać tego zademonstrować.

Paradoksalnie ta trudna sytuacja i rola „ostatniego bastionu" będzie dla Andrzeja Dudy kolejnym ważnym przyczynkiem do uczciwej oceny jego roli i osiągnięć. Trudno przyznać, że jest czego zazdrościć prezydentowi Dudzie, ale też żaden z jego poprzedników w III RP nie miał tylu i takich okazji, by przejść do historii.

Skąd my to znamy?

Prezydent stał się po zmianie rządu naturalnym ośrodkiem, wokół którego zjednoczyła się znaczna część wyborców. To dlatego wraca **przemysł pogardy** stosowany wobec Jana Pawła II czy Lecha Kaczyńskiego.

Agnieszka Żurek

Kiedy po 10 kwietnia 2010 roku z przepastnych szaf TVN-u i „Gazety Wyborczej" zaczęto wyciągać taśmy i fotografie prezentujące śp. Lecha Kaczyńskiego jako oczytanego, kulturalnego i serdecznego człowieka, powszechnie odzywały się głosy mówiące o tym, że należy raz na zawsze skończyć z „przemysłem pogardy", który zdominował życie publiczne w Polsce.

Tak się jednak nie stało, a przykład stosunku przedstawicieli lwiej części mediów oraz polityków do prezydenta Andrzeja Dudy jasno dowodzi, że poziom cynizmu i przemocy psychicznej stosowanej wobec głowy państwa przekroczył nie tylko granice dobrego obyczaju, ale także normy prawne.

Fot. Adobe Stock (obraz wygenerowany przez SI)

Pierwszy był Urban

„Uczucie nienawiści politycznej do komunistów, do władzy, do wszystkiego, co jest powojenną Polską, przynoszone na tę salę przez bywalców, a pod dyrygencją księdza Popiełuszki, przestaje być wewnętrznym robakiem drążącym człowieka" – pisał Jerzy Urban o błogosławionym męczenniku. I dalej ten sam autor: „Polityczne uczucia doznają publicznego wyładowania w tłumie podobnie czujących. Wyznawcy sfanatyzowanego ks. Popiełuszki nie

potrzebują argumentów, dociekań, dyskusji, nie chcą poznawać, spierać się, zastanawiać i dochodzić do jakichś przekonań. Chodzi tylko o zbiorowe wylanie emocji. Ks. Jerzy Popiełuszko jest więc organizatorem sesji politycznej wścieklizny. Mylił się bowiem Orwell, gdy sądził, że seanse nienawiści można urządzać poprzez telewizyjne emisje pobudzające emocje każdego z widzów osobno, w jego czterech ścianach. Ludzie porozdzielani od siebie ścianami podatni są na perswazje, argumenty i wzruszenia, ale zbiorową nienawiść podniecać mogą tylko w tłumie. Charyzmatyczny strój, który wodza i przewodnika z tłumu wyróżnia i wywyższa ponad masę ludzką, zapewnia ks. Popiełuszce przewagę nad słuchaczami, której nie trzeba wypracować". Fakty wobec politycznego zapotrzebowania nie miały żadnego znaczenia. Ks. Jerzy Popiełuszko mógł być człowiekiem bardzo skromnym, dobrym, nieśmiałym, konsekwentnie nawoływać do pokoju opartego na prawdzie pojednania, przestrzegać przed żądzą odwetu i przed zemstą, apelować o zwyciężanie zła dobrem – a i tak określany był mianem „sfanatyzowanego organizatora seansów nienawiści". Urban był jednak w czasach księdza Jerzego mimo wszystko tylko bardzo wpływowym marginesem, a metoda jego działania raczej spotykała się z potępieniem niż powszechną aprobatą. Nie przyjęło się także prowadzone w stylu Urbana zohydzanie postaci św. Jana Pawła II i określanie jego pielgrzymek do Ojczyzny mianem „obwoźnego sado-maso". Nie chwyciło również hasło „Nie płakałem po papieżu" wyróżnione w konkursie „Gazety Wyborczej". Było tak zapewne dlatego, że 2 kwietnia 2005 roku wszyscy – wierzący i nie – świetnie pamiętali polskiego papieża i mieli świadomość, co mu zawdzięczają. Dwadzieścia lat później jest już niestety inaczej. Jan Paweł II dla dużej części młodego pokolenia stał się postacią z memów, a drwina z każdego autorytetu stała się sposobem na życie, niekoniecznie nawet uświadomionym.

Jeśli zatem „przemysł pogardy" dotyka nawet największego w historii Polaka, osobę świętą, cóż dopiero mówić o politykach. Daleko odeszliśmy od takiego rozumienia kultury politycznej, w którym istnieje przestrzeń na krytykę działań danego przedstawiciela władzy, ale nie na deprecjonowanie samego piastowanego przezeń urzędu ani na dehumanizowanie sprawującej go osoby. Ataki na śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a obecnie na prezydenta Andrzeja Dudę mają wszelkie cechy przemocy psychicznej. Spośród stosowanych przez ich politycznych oponentów i sprzyjające im media technik oddziaływania można wymienić: odczłowieczanie, czynienie kozłem ofiarnym [ang. scapegoating], mobbing, negowanie czyjejś rzeczywistości [ang. gaslighting], izolowanie, kampanię oszczerstw, publiczne poniżanie, stalking i wiele innych. Nagonka na prezydenta Andrzeja Dudę występuje niezależnie od merytorycznej oceny jego działań. Widać

to było wyraźnie w czasie pełnienia przez niego urzędu w okresie sprawowania władzy przez rząd Zjednoczonej Prawicy. Jeśli prezydent podpisywał ustawy uchwalane przez parlament, był nazywany „długopisem" czy bezwolnym wykonawcą poleceń prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Kiedy z kolei zawetował np. ustawę o reformie sądownictwa, także naśmiewano się z niego, drwiąc, że oto próbuje „wybić się na niepodległość", co i tak mu się oczywiście nie uda. I tak źle, i tak niedobrze. Nastawienie prorządowych mediów i polityków wobec prezydenta Dudy widać chociażby na przykładzie tak neutralnego tematu, jakim jest uprawianie sportu. „Andrzej Duda wybrał się na narty. Memy z udziałem prezydenta zalały sieć!" – podaje portal plejada.pl. „Donald Tusk korzysta z wolnego weekendu i aktywnie spędza czas na świeżym powietrzu. Premier postanowił spędzić czas z wnuczką, którą zabrał na stok narciarski, czym pochwalił się w mediach społecznościowych" – czytamy dla odmiany w serwisie interia.pl. Podobny ton można zaobserwować w komentarzach dotyczących niedawnego wyjazdu służbowego prezydenta do krajów Afryki Wschodniej. „Andrzej Duda poleciał do Kenii. To, kto go przywitał, wywołało śmiech. «Dobrze, że ubera nie kazali wam wziąć»" – pisze jeden z portali. „Wiecie, nie wiedziałem, że trzeba jechać aż do Afryki, żeby wytłumaczyć, co oznacza agresja Rosji na Ukrainę i co się myśli o przynależności Krymu. To może Andrzej Duda już tam zostanie, skoro tak dobrze na jego poglądy wpływa afrykański klimat? Co sądzicie?" – napisał na platformie X senator PO Adam Szejnfeld. „Zdrajca i betoniarz bezprawia znowu coś podpisuje. Zabierzcie draniowi długopis. Ten dureń niczego dobrego dla Polski nie uczynił. To czyste, chociaż rozmodlone i rozmamlone zło" – stwierdził z kolei wspierający obecny rząd działacz KOD i PRL-owski wojskowy Adam Mazguła.

„Ośmieszaj wszystko, co istotne"

Atak na prezydenta RP ma jednak wymiar nie tylko werbalny, ale i polityczny. Sposób, w jaki odnoszą się do niego niechętni mu działacze publiczni, obniża nie tylko jego rangę na arenie krajowej i międzynarodowej, lecz także narusza powagę urzędu zwierzchnika sił zbrojnych, a nawet naraża na szwank jego osobiste bezpieczeństwo – jak mieliśmy okazję widzieć podczas sytuacji zatrzymania kolumny prezydenckiej przez miejski autobus tarasujący wjazd do Pałacu Prezydenckiego, co umożliwiło policji wejście pod nieobecność gospodarza do budynku i zatrzymanie przebywających tam posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Abstrahując od samej sprawy obu posłów, narażanie na jakiekolwiek niebezpieczeństwo najważniejszej osoby w państwie jest niedopuszczalne i bezprawne. Bezprawne jest również znieważanie głowy państwa. „Kto publicznie znieważa Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3" – stanowi Kodeks karny. Przyzwolenie społeczne na hejt wobec polityków, w tym prezydenta, jest ogromne, nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę z tego, że „hejtując" głowę własnego państwa, wykonują de facto założenia obcych służb specjalnych. Jurij Biezmienow, słynny radziecki tajny współpracownik KGB działający pod przykryciem dziennikarza, który w latach 70. uciekł do Stanów Zjednoczonych, podkreślał w swoich wykładach, że niszczenie wrogiego państwa zaczyna się właśnie od podważania jego wszelkich autorytetów i instytucji, na których się ono zasadza, a także od demoralizacji młodych ludzi i psucia obyczajów – tak, aby w efekcie z łatwością poddawać ich praniu mózgu czy odpowiedniemu warunkowaniu psychologicznemu – dziś nazwalibyśmy to „stosowaniem technik programowania neurolingwistycznego".

„Ośmieszaj wszystko, co istotne w tradycji kraju twego przeciwnika. Zakłócaj pracę rządu na wszelkie możliwe sposoby. Nie rezygnuj z pomocy najbardziej podłych jednostek w kraju twojego wroga. Potęguj brak jedności i spory wśród obywateli. Zwracaj młodzież przeciw ludziom starszym. Hojnie rozdawaj obietnice i nagrody kolaborantom i wspólnikom" – wymieniał techniki destabilizacji wrogiego państwa zaczerpnięte z dzieła chińskiego stratega Sun Tzu „Sztuka wojny". Biezmienow cytował także fragmenty Międzynarodówki Komunistycznej: „Deprawujcie młodzież, kierujcie jej zainteresowanie na seks, zniechęcając ją do religii. Dzielcie społeczeństwo na wrogie sobie grupy przez poruszanie kontrowersyjnych kwestii pozbawionych znaczenia. Powodujcie upadek zasad moralnych. Zastępujcie tradycyjne

GDY PREZYDENT DUDA PODPISYWAŁ USTAWY, BYŁ „BEZWOLNYM DŁUGOPISEM". GDY TERAZ GROZI WETEM, JEST „SZKODNIKIEM" I „PODPALACZEM".

wartości judeochrześcijańskie wiarą marksistowsko-satanistyczną”.

Atak na prezydenta to zarazem atak na symbol, powagę państwa, a także na wartości, które reprezentuje Pierwszy Obywatel. Andrzej Duda nigdy nie krył swojego przywiązania do idei konserwatywnych i do religii katolickiej, co także stało się przedmiotem niebywałego hejtu – podobnie działo się w przypadku śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Hejt ma zatem wymiar podwójny – godzi nie tylko w Rzeczpospolitą i jej najwyższy urząd, ale także w fakt zajmowania najwyższego stanowiska w państwie przez człowieka przyznającego się publicznie do wiary katolickiej, co w „postępowej” Europie równa się niemal herezji. „Kiedy przyjdą zniszczyć ten naród, zaczną od Kościoła, bo Kościół jest jego siłą” – mówił bł. prymas Stefan Wyszyński. Związany z Kościołem prezydent Andrzej Duda jest dla wielu solą w oku jako symbol polskiej tradycji silnie zakorzenionej w chrześcijaństwie.

AGENT KGB JURIJ BIEZMIENOW PODKREŚLAŁ, ŻE NISZCZENIE WROGIEGO PAŃSTWA ZACZYNA SIĘ OD PODWAŻANIA JEGO AUTORYTETÓW I INSTYTUCJI.

Hejt i miód

„Nienawiść nie jest siłą twórczą. Siłą twórczą jest miłość” – powiedział w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz św. Maksymilian Kolbe. Warto zastanowić się głębiej nad treścią tych słów, także w kontekście hejtu na prezydenta Andrzeja Dudę. Hejt nigdy nie był naszą siłą ani naszą prawdziwą tożsamością. „Przemoc nie jest oznaką siły, lecz słabości” – mówił patron Solidarności bł. ks. Jerzy Popiełuszko. „Naród Polski nie nosi w sobie nienawiści i dlatego zdolny jest wiele przebaczyć, ale tylko za cenę powrotu do prawdy” – dodawał w innym miejscu. Fenomen papieskich pielgrzymek, narodzin Solidarności, zjednoczenia narodowego po śmierci św. Jana Pawła II czy po katastrofie smoleńskiej, wielki zryw gościnności i serdeczności, z którym Polacy pospieszyli na pomoc uchodźcom z Ukrainy, nasza hojność w zbiórkach publicznych na ratowanie zdrowia i życia ludzkiego – wszystko to świadczy o tym, że naszą prawdziwą siłę odnajdziemy nie w hejcie, tylko w czynieniu dobra. I to ono prawdziwie nas jednoczy i daje napęd do działania. Wiedzą o tym doskonale także nasi wewnętrzni i zewnętrzni wrogowie dostrzegający potencjał naszego kraju i społeczeństwa i dążący do tego, żeby zająć nas jałowymi sporami, biciem emocjonalnej piany oraz okopywaniem się we wrogich obozach zamiast prowadzenia rzetelnej i dojrzałej merytorycznej dyskusji oraz jednoczenia się wokół istotnych spraw.

HEJT NIGDY NIE BYŁ NASZĄ SIŁĄ ANI NASZĄ PRAWDZIWĄ TOŻSAMOŚCIĄ. SIŁĘ NASZEGO NARODU ODNAJDZIEMY NIE W HEJCIE, TYLKO W CZYNIENIU DOBRA.

Konserwatywna „strona barykady” także nie jest tu bez winy i z pewnością powinna wyciągnąć wnioski z porażki wyborczej, do której być może doszło częściowo także z powodu zrażenia do siebie zbyt dużej części ludzi tonem debaty publicznej. Chęć zrekompensowania cierpień politykom będącym obiektami nagonki może prowadzić do odrealnienia i śmieszności w wyniku ich nadmiernej idealizacji. Warto pamiętać, że w morzu zarówno hejtu, jak i „miodu” toną fakty, a to o nich powinniśmy dyskutować, używając argumentów, a nie wyzwisk czy pochlebstw. Destrukcyjny wymiar ma nie tylko atak wymierzony w osobę pełniącą najwyższy urząd w kraju, ale i sam wybór hejtu jako narzędzia „walki politycznej” i „komunikacji” – osłabia to państwo, społeczeństwo, tworzy atmosferę pełną wzajemnej wrogości i cynizmu, rozbija wspólnotę, a nawet tożsamość jednostki, dekonstruuje pojęcia, co wpływa na erozję świata wewnętrznego człowieka, zubaża go i ostatecznie unieszczęśliwia. Opłakane efekty, które przynosi hejt, najlepiej widać w szkołach – tam też jego konsekwencje mogą być najbardziej tragiczne. Nie wykorzenimy jednak tego modelu zachowań w najmłodszym pokoleniu, jeśli sami – pod dowolnymi pretekstami – nadal będziemy go stosować.

Dopaść prezydenta, spacyfikować Polskę

– PiS w ostatnich ośmiu latach było tak dużą przeszkodą, ponieważ Polska pełniła – w domykającym się projekcie superpaństwa – rolę podobną do roli Solidarności w ramach ówczesnego „bloku wschodniego". Była krajem rodzącej się alternatywy dla jednej obowiązującej ideologii. Dlatego podobnie jak Solidarność w latach 80. Polska jest dziś tak niebezpieczna dla ideologów federalizacji Unii – mówi prof. **Zdzisław Krasnodębski**, socjolog, europoseł, w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. T. Gutry

– Czy to, co się dzieje wokół prezydenta, jest kolejną odsłoną kryzysu autorytetu państwa?

– Tak, ale to nic nowego, jeśli chodzi o działania tej ekipy. Nowicjusze, jak choćby Szymon Hołownia, pełnią rolę usłużnych statystów, natomiast Donald Tusk i jego ludzie stosują swoją od dawna wypróbowaną metodę. Prezydent Andrzej Duda pracował kiedyś w kancelarii śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i po 13 grudnia, kiedy niedawna opozycja przejęła władzę, niczego innego się chyba nie mógł spodziewać. Prezydent miał do wyboru albo zupełnie ulec, albo starać się zachować pewne zasady i bronić swojej pozycji, mając świadomość ceny, jaką przyjdzie mu za to płacić. Wybrał to drugie, zachowując swoją konstytucyjną rolę. Donald Tusk pisał o rządzie PiS, że były to „rządy okupacyjne". Prezydent wywodzi się z tego środowiska, więc i prezydenta całkowicie się delegitymizuje. Poza tym, kiedy Tusk pokazał, że zależy mu na państwie polskim, jego powadze? Nie zauważyłem u niego takiej troski przez cały okres jego działalności politycznej.

– Chcą doprowadzić do tego, by autorytet prezydenta stracił swoją jednoznaczność jako głowy państwa?

– Oczywiście, ośmieszanie powagi prezydenta zaczęło się już na początku jego kadencji, teraz przybiera wręcz formy karykaturalne. To nie jest ekipa, która myśli w kategoriach instytucjonalnych, szacunku i powagi dla państwa, tylko personalnych. Przez lata trucizna sączona z Brukseli na temat Polski mogła osiągnąć takie rozmiary dzięki inspiracji i przyzwoleniu Donalda Tuska, ówczesnego przewodniczącego Rady Europejskiej. To było strasznie niszczące dla naszego kraju.

OBY TEN „PRZEMYSŁ POGARDY" WOBEC PREZYDENTA ANDRZEJA DUDY NIE DOPROWADZIŁ DO PODOBNEJ TRAGEDII, JAK W PRZYPADKU ŚP. LECHA KACZYŃSKIEGO.

– Sekowanie prezydenta wpisuje się w Kulturkampf 2.0?

– Tak, Tusk nie ukrywa, że wszystkie instytucje „skażone" PiS-em należy „oczyścić", odzyskać, zbudować na nowo po swojemu. Urząd najwyższej głowy w państwie obok Trybunału Konstytucyjnego są najważniejszymi celami ataku. Prezydent po ataku Rosji na Ukrainę wyrobił sobie pozycję międzynarodową, więc teraz trzeba go zdezawuować, odebrać mu znaczenie i prestiż. Stare gierki. Oby ten „przemysł pogardy" nie doprowadził do podobnej tragedii, jak w przypadku śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

TUSK NIE UKRYWA, ŻE WSZYSTKIE INSTYTUCJE „SKAŻONE" PiS-EM NALEŻY „OCZYŚCIĆ".

– Po co to jest robione?

– Mamy teraz nowy kontekst międzynarodowy. Obecnie nie ma tylko wojny polsko-polskiej jak w latach 2005–2007, teraz to jest wojna przeciwko Polsce i wojna kulturowa w wielu innych krajach europejskich. Metody Tuska są powielane w innych krajach, ponieważ w elitach brukselskich uważa się, że odebranie przez niego władzy prawicy, która chciała spowalniać projekt europejskiego superpaństwa, jest dobrym wzorem do zastosowania gdzie indziej.

– Nakręcana teraz wojna kulturowa powoduje, że nasze państwo musi w sobie dźwigać naraz wiele idei przeciwnych sobie?

– Ścieranie się z jednej strony tradycjonalistów, z drugiej liberalno-lewicowych postępowców mamy w Europie od dawna. Zmiana jest taka, że lewicowi nihiliści mają dzisiaj w Europie większość, mają władzę, dominują w kulturze, co w konsekwencji sprawia, że w ciągle konserwatywnej Polsce walka przybiera postać ostrego starcia. Przecież w latach 90. czy nawet w pierwszych latach rządów PiS nie definiowano demokracji liberalnej poprzez małżeństwa homoseksualne czy tzw. płeć kulturową. Wtedy nie było wielkiego kryzysu migracyjnego. Sama UE nie była tak kontrowersyjna. Dziś najbardziej radykalni przedstawiciele rewolucji obyczajowej zajmują najważniejsze stanowiska w wielu krajach europejskich i wprowadzają swoje reformy w Unii. Teraz Unia zamienia się w państwo. To wszystko dzieje się na naszych oczach i dotyka nas bezpośrednio. Ma to swoje konsekwencje dla naszego państwa i jego instytucji.

– Niebezpieczne jest to, że nowa władza z praworządności i europejskości zrobiła główny wzorzec interpretacyjny własnego bezprawia, co de facto osłabia wizerunek Polski w Europie.

– Od 2015 roku konflikt z Polską dotyczył kierunku polityki polskiej, bo okazało się, że duży kraj Unii o centralnym położeniu ma rząd wprost odwołujący się do chrześcijaństwa i mówiący o sobie, że jest prawicowy. Jedna z europosłanek z Holandii bardzo zaangażowana „w obronę" naszej „praworządności" i „demokracji" powiedziała otwarcie w jednej z debat, że jej kolegom nie chodzi o żadną obronę Trybunału Konstytucyjnego, o sposób mianowania sędziów itd., lecz o sam rząd PiS-u. Praworządność była najbardziej przydatnym polem bitwy, ponieważ można było to przedstawiać jako spór między tymi, którzy nie chcą demokracji, odrzucają konstytucję i rządy prawa, a obrońcami ładu prawnego i konstytucyjnego w Polsce. Tak został wykreowany czarno-biały obraz Polski. W naszej kontrnarracji w Parlamencie Europejskim mówiliśmy, że to zupełnie przekłamany obraz, że nie ma żadnego zawieszenia procedur demokratycznych, przekonywaliśmy, że podobne rzeczy dzieją się w krajach europejskich, że motywy naszych krytyków są czysto polityczne, że nie mogą pogodzić się z utratą władzy. Nigdy to nie zostało przyjęte.

– Zwyciężyły narracja liberalno-lewicowa i pooświeceniowe przesądy?

– Owszem. Z Tuskiem uosabiającym w brukselskich elitach tego, który przyjdzie na ratunek Polsce, przywróci jej liberalną demokrację, a Polska wróci do standardów europejskich. Na ten wizerunek Tuska grały elity w Polsce. Słuchałem kiedyś wystąpienia pana Adama Bodnara w Oxfordzie. Wyglądało to mniej więcej tak, że święci demokracji i praworządności walczą z demonami autorytaryzmu z PiS. Tak pisały o Polsce „The Economist", „Washington Post", nawet „Le Figaro", „Die Welt". Teraz te anioły praworządności, praw opozycji, podziału władzy i wolności mediów swoim rządzeniem w krótkim czasie zaprzeczyły wszystkiemu, co chciały bronić, będąc w opozycji.

> WZROK CZŁONKÓW RZĄDU KOALICJI 13 GRUDNIA SKIEROWANY JEST W CAŁOŚCI NA BRUKSELĘ, BERLIN I PARYŻ.

– Jak radzi sobie z tym UE?

– Uważa, że to nadzwyczajna sprawiedliwość epoki przejściowej, „transitional justice".

> WSZYSCY TRZEŹWO MYŚLĄCY SPECJALIŚCI ZAJMUJĄCY SIĘ DEMOKRACJĄ TWIERDZĄ, ŻE JEST ONA MOŻLIWA TYLKO W RAMACH PAŃSTWA NARODOWEGO.

– Aż tak? To się kojarzy z rozliczaniem junt wojskowych.

– Niestety, choć powoli to podejście zaczyna tracić na wiarygodności. Věra Jourová i jej podobni jeszcze w to wierzą, bo są wyjątkowo zaślepieni, jednak moi inteligentniejsi koledzy z PE widzą, że to się nie klei, trochę się dziwią, że ktoś prosto z więzienia przyszedł do nich do frakcji. Podejście europejskich elit do drastycznych działań Tuska przywodzi na myśl to, co powiedział kiedyś Ronald Reagan zapytany, dlaczego Amerykanie popierają różnych łajdaków („bastards") w Ameryce Południowej: „Bo to są nasi łajdacy". Tusk jest człowiekiem europejskich elit. Dlatego go popierają.

– Kiedy zachodni dziennikarze chcą się dowiedzieć, co dzieje się w Polsce, to najczęściej dzwonią do kolegów z „Gazety Wyborczej" lub innych liberalno-lewicowych mediów.

– I będą dzwonić. Niestety większość ludzi, którzy zadali sobie trud otwarcia oczu: po pierwsze – nigdy nie powiedzą tego publicznie, po drugie – bardzo szybko je z powrotem zamykają, bo mogliby się nie znaleźć na listach swoich partii w przyszłości. Poza tym nie mają się czym przejmować, bo koniec końców zbuntowana prowincja została przywołana do porządku.

– Elity PO i Lewicy mają kulturę „dostosowywania się" do superpaństwa europejskiego, ale

to kosztuje, to wypłukuje państwo z prerogatyw. Tusk właśnie zgodził się na trzy nowe podatki.

– Od 13 grudnia dowiadujemy się, że nie będzie żadnej praworządności i niezależnych mediów. Ale też dowiadujemy się rzeczy, o których w kampanii nie mówiono wprost, mianowicie, że nie będzie przełomowych inwestycji infrastrukturalnych. Wszystko, co się dzieje wokół elektrowni atomowych, przypomina zabiegi, które kiedyś stosowano w związku z tarczą antyrakietową. Wokół każdej wielkiej inwestycji atmosfera psuta jest dzisiaj po to, by się z niej wycofać, nie wywołując protestów opinii publicznej. Na to nakłada się polityka unijna. Polacy w większości nie rozumieją, że Unia jest takim samym miejscem konkurencji politycznej i gospodarczej jak wszystkie inne fora. Silna polska gospodarka to konkurencja dla gospodarek innych państw wspólnoty. Także dlatego rząd Tuska powoli wycofuje się ze wszystkich wielkich inwestycji.

SŁUCHAŁEM KIEDYŚ WYSTĄPIENIA ADAMA BODNARA W OXFORDZIE. WYGLĄDAŁO TO MNIEJ WIĘCEJ TAK, ŻE ŚWIĘCI DEMOKRACJI I PRAWORZĄDNOŚCI Z PO WALCZĄ Z DEMONAMI AUTORYTARYZMU Z PiS.

– Niebezpieczny w tych siłach jest brak zmysłu suwerenności. Kiedy interesy polskie mogą zagrozić interesom innych państw, zawsze się cofną.

– Wzrok członków rządu koalicji 13 grudnia skierowany jest w całości na Brukselę, Berlin i Paryż. W tym zapatrzeniu jest przekonanie, że i tak wszystko będzie podlegało Brukseli i cały patriotyzm nowego rządu ma polegać na tym, by sprawnie wpleść Polskę w budowę superpaństwa, w jego gospodarkę i w jego strategię polityczną. Dlatego PiS w ostatnich ośmiu latach było tak dużą przeszkodą. Polska pełniła bowiem – w domykającym się projekcie superpaństwa – rolę podobną do roli Solidarności w ramach ówczesnego „bloku wschodniego", jako kraj rodzącej się alternatywy dla jednej obowiązującej ideologii. Dlatego podobnie jak Solidarność w latach 80. Polska była tak niebezpieczna dla ideologów federalizacji UE. Wielokrotnie słyszałem od moich kolegów z Europejskiej Partii Ludowej, że jesteśmy odważni, odważyliśmy się przeciwstawić Unii.

– Rząd Donalda Tuska ma zadanie, ale i własną ambicję domknięcia w Polsce tezy sekularyzacyjnej?

– Tak, kiedyś już rozmawialiśmy o niebezpieczeństwie „zapateryzmu", który w końcu pojawi się wraz z hegemonią sił liberalno-lewicowych, więc właśnie się to stało. Nieprzypadkowo w nowej koalicji wszystkie sprawy dotyczące edukacji, rodziny i wychowania powierzono lewicy. Pierwsze propozycje ustaw dotyczyły tabletki „dzień po", Funduszu Kościelnego, coraz częściej mówi się o małżeństwach homoseksualnych. W Polsce można jeszcze mówić otwarcie, że jest się politykiem prawicowym, konserwatystą. W innych krajach europejskich jest to stygmatem i tocząca się teraz rewolucja obyczajowo-ideowa ma sprawić, by i u nas nikt głośno się nie przyznawał, że ma prawicowe, tradycyjne wartości.

– Nowa władza mówi o wzmacnianiu demokracji, osłabiając przy tym jej symbole i głowę państwa, ale demokracja działa pod osłoną państwa. Słabe państwo nie chroni należycie delikatnych zdobyczy demokracji.

– Wszyscy trzeźwo myślący specjaliści zajmujący się demokracją twierdzą, że jest ona możliwa tylko w ramach państwa narodowego. Unia jest – i ze swej istoty musi być – tworem postdemokratycznym. Polska jest jednym z nielicznych już państw narodowych w Europie.

– Grozi nam demokracja „selektywna"? Tam, gdzie nie przeszkadza, można ją stosować, tam, gdzie jest wbrew interesom władzy, będzie „zawieszana"?

– Państwom słabym Unia może zabierać więcej demokracji, pozbawiając obywateli wpływu na strategię swoich państw i wybór władz. Wiele peryferyjnych państw Unii to już w zasadzie jej protektoraty, z większym lub mniejszym zakresem autonomii. Biurokracja brukselska liczy się tylko z silnymi. Prezydent Emmanuel Macron może sobie robić, co chce, i nikt mu nic nie powie. W Polsce delegitymizacja takich instytucji państwowych, jak prezydent, Trybunał Konstytucyjny odbywa się poprzez decyzje instytucji unijnych i z powoływaniem się na nie w procesie likwidacji lub politycznego podporządkowania.

Prawdziwi partnerzy, prawdziwi przyjaciele

To Solidarność jako jedna z pierwszych uwierzyła w 2015 roku, że Andrzej Duda może zostać prezydentem i że może to być **początek dobrych zmian** w Polsce. Dalsze lata pokazały, że wielopłaszczyznowa przyjaźń prezydenta z NSZZ „Solidarność” ma głębokie podstawy i nie raz prowadziła do rozwiązań, które zmieniły polski rynek pracy na lepsze.

Barbara Michałowska

Fot. M. Żegliński (2)

5 maja 2015 roku Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, i kandydat na prezydenta Andrzej Duda po raz pierwszy podjęli ryzyko współpracy. Podpisali umowę programową. Jednym z jej punktów było przywrócenie podwyższonego przez rząd Donalda Tuska wieku emerytalnego do 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn.

Udało się. Od 1 października 2017 roku wiek znów jest obniżony. To był jeden z pierwszych sukcesów prezydenta i Związku.

„Chciałbym, żeby Solidarność stała na straży wartości, które są fundamentem Rzeczypospolitej”

Andrzej Duda nie zawiódł. Ale sam też w trakcie swojej prezydentury nie zwątpił w dobre intencje Solidarności. W 2022 roku podczas XXX KZD mówił: – Wierzę, że Solidarność będzie trwała zawsze. Wierzę w to, że Solidarność będzie umacniała naszą Polskę nie tylko przez dziesięciolecia, ale przez stulecia.

Zresztą niejednokrotnie podkreślał w swoich wystąpieniach, jak ważną rolę odegrała Solidarność w historii nie tylko Polski, lecz także Europy i świata. Mówił również o tym, że osobiście podziwia postawę osób, które były zaangażowane w działalność opozycyjną w czasach PRL-u. Dlatego rolę Związku widział nie tylko w obronie praw pracowniczych. – Chciałbym, żeby Solidarność zawsze stała na straży praw ludzi pracy, na straży polskiej niepodległości, suwerenności, ale także wszystkich wartości, które są fundamentem Rzeczypospolitej – mówił w Częstochowie w 2018 roku.

„Tylko jeden człowiek może nam dać gwarancję”

Wypowiedzi prezydenta świadczących o szacunku do tego, czym Solidarność się zajmuje, można przytaczać wiele. Nie są to słowa jedynie grzecznościowe. Za nimi idą konkretne inicjatywy, które wspólnie udało się osiągnąć. Jedną z nich było powołanie w 2015 roku Rady Dialogu Społecznego. Prezydent niedawno podkreślał dumę z powodu powierzenia mu wówczas z decyzji ówczesnego parlamentu roli patrona Rady Dialogu Społecznego.

ANDRZEJ DUDA NIE ZAWIÓDŁ. ALE SAM TEŻ W TRAKCIE SWOJEJ PREZYDENTURY NIE ZWĄTPIŁ W DOBRE INTENCJE SOLIDARNOŚCI.

Rady, której inicjatorem był NSZZ „Solidarność”. Zresztą współpraca przy jej powstaniu oznaczała konkretne działania, m.in. skierowanie przez Andrzeja Dudę do Trybunału Konstytucyjnego niekorzystnych zapisów w ustawie o Radzie Dialogu Społecznego, o co apelował wówczas Piotr Duda.

Na przestrzeni lat wspólnych inicjatyw prowadzących do polepszenia dialogu społecznego, a także do poprawienia warunków pracy polskich pracowników było wiele, na przykład prace przy kolejnych tarczach antycovidowych. Piotr Duda mówił niejednokrotnie o pomocy prezydenta, choćby w przypadku tarczy 3.0. – Wtedy faktycznie likwidowano związki zawodowe i liberalizowano w ogóle prawo pracy w tej nowelizacji. Tutaj bardzo odważna i zdecydowana interwencja Pana Prezydenta doprowadziła do tego, że faktycznie mamy to, co chcieliśmy, że w zakładach pracy, gdzie są reprezentatywne związki zawodowe, bez porozumienia z tymi związkami pracodawca nie może podejmować negatywnych działań wobec pracowników i związkowców – mówił Piotr Duda, gdy w maju 2020 roku podpisywał z Andrzejem Dudą, kandydującym wówczas powtórnie w wyborach prezydenckich, umowę programową.

– Jeżeli chcemy utrzymać wszystkie uprawnienia i rozwiązania propracownicze i to, że nie będzie liberalizowane prawo pracy, to jest tylko jeden człowiek, który może nam dać tę gwarancję. I to jest obecny prezydent Andrzej Duda – mówił wówczas Piotr Duda.

Jego zastępca Tadeusz Majchrowicz dodał wówczas: – Dzięki współpracy z głową państwa dla szesnastu milionów ludzi załatwiliśmy bezpieczeństwo w postaci stawki godzinowej i płacy minimalnej. [...] Dało się? Jesteśmy spokojni, odetchnęliśmy z ulgą, kiedy PKW oficjalnie potwierdziła wyniki wyborów, bo tu mamy prawdziwego partnera, tu mamy prawdziwego przyjaciela.

„Będę bronił wszystkich ustaleń i zobowiązań”

Po ostatnich wyborach parlamentarnych w sposób naturalny obie strony dążyły do zacieśnienia relacji. Miały w tym konkretny cel. Wyraził go kilka dni po wyborach Piotr Duda podczas ubiegłorocznego XXXI KZD w Spale.

– Od 2015 roku niezmiennie powtarzałem, że Andrzej Duda jest naszym największym sojusznikiem w realizacji postulatów Solidarności. Dzisiaj mogę dodać, że Pan Prezydent i NSZZ „Solidarność" stali się silnymi gwarantami bezpieczeństwa dla polskich pracowników i polskich rodzin w niepewności, jaka rysuje się po ostatnich wynikach wyborów parlamentarnych – powiedział. – Musimy pilnować Polski, bo Polacy na nas patrzą. Musimy pilnować praw pracowniczych – mówił do delegatów Zjazdu.

– Co do jednego nie mam wątpliwości, będę konsekwentnie realizował tę politykę, do której zobowiązywałem się wspólnie z Solidarnością. [...] Możecie być pewni, że ja z tej drogi nie zejdę. Możecie być pewni, że będę bronił wszystkich ustaleń i zobowiązań, które zostały w ostatnich latach zrealizowane – wtórował prezydent Andrzej Duda.

Kolejne spotkania, w tym posiedzenie Komisji Krajowej NSZZ „S", które w styczniu odbyło się w Pałacu Prezydenckim z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy, potwierdzają ten swoisty „sojusz". To nie jest małżeństwo z przymusu. Kiedy Andrzej Duda mówi: „Trzymam z Solidarnością", ma na myśli konkretne doświadczenia i konkretne działania, które podejmował wspólnie ze Związkiem. Ma na myśli to, że obie strony mogą na siebie liczyć.

Dwie najważniejsze wartości: wolność i solidarność

A mogą liczyć nie tylko dlatego, że często mają wspólny cel. Także dlatego, że prezydenta i Solidarność łączy wspólna filozofia wobec rynku pracy i społecznej roli państwa, wspólne wartości. W 2020 roku prezydent pisał: „Widzimy, że cele społeczne i ekonomiczne powinny być ze sobą zharmonizowane, że potrzebny jest rozwój zrównoważony, który nie absolutyzuje krótkotrwałych zysków. Rozumiemy też, jak istotne są spójność społeczna i sprawiedliwe uczestnictwo w owocach wzrostu gospodarczego".

– Zawsze broniłem i będę bronił dwóch najważniejszych polskich wartości, o które walczyły całe pokolenia: wolności i solidarności – mówił niedawno Andrzej Duda na inauguracji Sejmu.

Już w Płocku w 2016 roku podczas XVIII KZD prezydent określił tę filozofię, mówiąc, że z dumą wypowiada się o realizacji umowy programowej spisanej z Solidarnością. – Dlatego że to jest dla mnie nie tylko realizacja postulatów Solidarności w znaczeniu postulatów zgłaszanych przez Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność". Ale to jest dla mnie także realizacja postulatów solidarności w tym najszerszym tego słowa znaczeniu – solidarności, którą Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność" od samego początku niesie w swojej idei i w sercach swoich członków. Tego właśnie, o czym powiedziałem: solidarnej Polski, solidarnego społeczeństwa, władzy solidarnej ze społeczeństwem, czyli krótko mówiąc: tego, co jest dla mnie najistotniejszym także elementem wspólnoty – wspólnoty społecznej, wspólnoty państwowej, wspólnoty narodowej.

> ***Zawsze broniłem i będę bronił dwóch najważniejszych polskich wartości, o które walczyły całe pokolenia: wolności i solidarności.***
>
> **prezydent ANDRZEJ DUDA**

Andrzej Duda, który w ciągu ostatnich dziewięciu lat prezydentury bywał gościem na wszystkich Krajowych Zjazdach Delegatów i sam wielokrotnie gościł przedstawicieli Solidarności u siebie, teraz być może bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje Solidarności. A Solidarność jak przyjaciel w potrzebie go nie opuszcza.

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Waldemar Biniecki

Otwarta granica

W światowej prasie trwa wyścig w relacjonowaniu tego, co dzieje się na południowej granicy Stanów Zjednoczonych. Blogerzy i dziennikarze, którzy nigdy nie byli w Stanach Zjednoczonych, a tym bardziej na granicy z Meksykiem, opowiadają bzdury i tworzą teorie spiskowe, kiedy to Teksas odłączy się od reszty Stanów Zjednoczonych.

Kilka razy byłem na południowej granicy USA. Już na pierwszy rzut oka można łatwo zauważyć, że granica ta oddziela nie tylko dwa państwa, ale oddziela dwa bardzo różne od siebie światy. Przejeżdżałem także na drugą stronę granicy, lecz nie była to podróż relaksująca. Przez południową granicę Stanów Zjednoczonych przez lata płynęły i nadal płyną do USA fale nielegalnych imigrantów, wliczając w ten smutny proces również grupy naszych rodaków. W wyniku postępującej polaryzacji i małej obiektywności mediów trudno jest wyodrębnić istotne informacje na temat sytuacji w Stanach Zjednoczonych. Potrafią to zrobić tylko ci, którzy od dawna zajmują się sprawami amerykańskimi.

Musimy sobie zdać sprawę, że Amerykanów najbardziej interesują sprawy, które dotyczą ich samych. Jak podaje FOX News, po prawyborach w New Hampshire największe zainteresowanie Amerykanów, bo aż 41%, jest zogniskowane na imigracji i sytuacji w Teksasie, 31% badanych interesuje ekonomia i inflacja, 8% interesuje się polityką zagraniczną, w tym konfliktami na Ukrainie, Bliskim Wschodzie i w Azji. Dalsze miejsce zajmuje temat aborcji – 5%. Tak więc kryzys na południowej granicy stał się najważniejszym problemem Stanów Zjednoczonych, a jednocześnie jest to wiodący temat kampanii wyborczej republikanów. Według NPR [National Public Radio] codziennie przez południową granicę na teren USA dostaje się 12 000 osób. W 2023 r. według tego samego medium na teren USA dostało się 2,5 miliona nielegalnych imigrantów. Tak jak pisałem w poprzednim felietonie, przez całą kadencję Joe Bidena na teren USA przedostało się około 10 milionów imigrantów.

Znacznie więcej światła na tę kwestię rzuca sprawa usunięcia szefa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego Alejandra Mayorkasa, tocząca się w komisji ds. bezpieczeństwa krajowego Izby Reprezentantów. Słuchając toczącego się przesłuchania najważniejszej osoby w USA odpowiadającej za bezpieczeństwo kraju, można wyciągnąć smutne wnioski o wielkim zaniechaniu, politycznej agendzie demokratów, hipokryzji i cynizmie.

Więcej informacji dostarczają wyżsi emerytowani oficjele FBI, którzy w liście otwartym do Kongresu określają stan na południowej granicy jako inwazję na USA. Należy również dodać, że 27 republikańskich gubernatorów poparło decyzję gubernatora Teksasu Grega Abbotta, który wezwał teksańską Gwardię Narodową w celu zabezpieczenia granicy Teksasu, skoro nie robi tego rząd federalny. Wspomagając Teksas, gubernator Florydy wysłał 1000 żołnierzy Gwardii Narodowej.

Sprawa pomimo omijania tematu przez media głównego nurtu nabiera dopiero prędkości. Na przesłuchaniu Alejandra Mayorkasa obecne są matki amerykańskich dzieci, które umarły po przedawkowaniu fentanylu. W ubiegłym roku w wyniku przedawkowania tego opioidu zmarło ponad 70 000 młodych Amerykanów. Główne składniki specyfiku dostarczają Chiny, a produkują i rozprowadzają go przy pomocy migrantów meksykańskie kartele narkotykowe. Nic więc dziwnego, że sprawa ta stała się centrum uwagi i sumieniem amerykańskiej racji stanu.

Posłowie PiS podczas próby wprowadzenia do Sejmu Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika; Warszawa, 7 lutego br.

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Państwo SIĘ SYPIE

Nowa władza mówi o sprzątaniu po PiS, ale w rzeczywistości daje pole do narracji **rozbiorowej**. Obecny rozkład państwa przypomina czasy saskie.

Jakub Pacan

Ubiegłotygodniowe obrazki sprzed siedziby Sejmu, gdzie wśród przepychanek wokół posłów Wąsika i Kamińskiego słychać było krzyki skłóconych Polaków: „Posłowie do Sejmu!” i z drugiej strony „Kaczyński, będziesz siedział!”, w Berlinie, Moskwie i Bóg wie gdzie ludzie znowu mogą mówić z satysfakcją i szyderstwem: „Tak właśnie obraduje i wygląda polnische Reichstag”.

Państwo niepoważne

Polnische Reichstag – pejoratywne niemieckie określenie polskiego Sejmu, ale też stylu rządzenia i uprawiania polityki przez Polaków – ma wskazywać, że nasz parlamentaryzm i polityka jest rozkrzyczana, chaotyczna, pełna sprzeczności, nieodpowiedzialna i niedojrzała.

Jeśli komuś od 1989 roku zależało, by to okienko geopolityczne, które znowu dało Polakom własną suwerenną ojczyznę, na powrót domknąć, to teraz to się dzieje. Zrobienie z polskiego Sejmu prześmiewczego cyrku właśnie dokonało się na naszych oczach.

Bo takie rzeczy w Europie się nie dzieją. Wprawdzie w wielu parlamentach się kłócą, ale żeby marszałek parlamentu wybierał sobie, która izba Sądu Najwyższego ma mu dać wykładnię prawa, doskonale wiedząc, że Sąd Najwyższy orzeka nie izbami, lecz całą instytucją, to w dojrzałych demokracjach jest niemożliwe.

Stary truizm o tym, że jeden obraz znaczy więcej niż tysiąc słów, akurat w przypadku stojących przed budynkiem Sejmu Wąsika i Kamińskiego jest najbardziej adekwatny, ponieważ pokazuje, gdzie w naszym kraju doszła i odnosi sukcesy gangrena sił rozkładowych. A doszła do rdzenia państwa i serca naszej demokracji. Sama Państwowa Komisja Wyborcza nie wyznaczyła na miejsce Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego nowych posłów do zaprzysiężenia, ponieważ wykonuje postanowienia SN o ich aktualnych mandatach, ale nowy rząd z Donaldem Tuskiem na czele ma życzenie, by tego po prostu nie widzieć.

> WŁAŚNIE ROZPOCZĄŁ SIĘ PROCES ROZKŁADU PAŃSTWA I DZIEJE SIĘ TO Z ROZKAZU OBCYCH STOLIC.

– To są rządy autorytarne, zaczęły się rządy autorytarne, posłowie nie mogą wejść do Sejmu. Marszałek Hołownia boi się dwóch posłów, tak? Co to za środki bezpieczeństwa, to miał być otwarty, przyjazny, uśmiechnięty Sejm. Widzicie, co się dzieje? To jest wielkie oszustwo – mówił przed Sejmem poseł Maciej Wąsik powstrzymywany przez Straż Marszałkowską przed wejściem do Sejmu.

> GANGRENA SIŁ ROZKŁADOWYCH W NASZYM KRAJU DOSZŁA DO RDZENIA PAŃSTWA I SERCA NASZEJ DEMOKRACJI I ODNOSI SUKCESY.

Jasno całą sytuację wyjaśnił będący na miejscu Jarosław Kaczyński. – Pan marszałek dzisiaj na sali sejmowej tłumaczył, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej nie ma prawa uchylać wyroków sądów, a to jeszcze raz pokazuje, że jest amatorem kompletnym i w ogóle nie powinien być marszałkiem. Ta izba Sądu Najwyższego jest jedyną uprawnioną do tego, żeby tego rodzaju sprawy rozstrzygać. Wyrok jest ostateczny i pan marszałek po prostu nie ma tu nic do powiedzenia, a cała reszta to jest element tego zamachu stanu, który się dziś toczy w Polsce. My się temu sprzeciwiamy, a ten dokument był nam potrzebny z powodów procesowych – powiedział.

W tym samym dniu, gdy posłowie nie mogli wejść do Sejmu podczas posiedzenia Komisji Infrastruktury, jej przewodniczący Mirosław Suchoń uciekł z posiedzenia po tym, jak zarządził głosowanie nad wnioskiem wiceprzewodniczącej Pauliny Matusiak z partii Razem. Kiedy się zorientował, że wynik głosowania jest inny od jego oczekiwań, zarządził przerwę i uciekł.

Rozkład

Właśnie rozpoczął się niebezpieczny proces rozkładu państwa i dzieje się to z rozkazu obcych stolic i wszelkie analogie z jurgieltnikami, ludźmi przesiadującymi w obcych ambasadach przed podjęciem ważnych decyzji dla kraju, są jak najbardziej na miejscu.

Warto przytoczyć słowa – z literackiej fikcji wprawdzie – ale dobrze opisujące stan Polski na dziś. Waldemar Łysiak w książce „Milczące psy” przedstawia list carycy Katarzyny II

do dyplomaty. „Należy więc zdemoralizować ich [Polaków] do szpiku kości. Trzeba rozłożyć ten naród od wewnątrz, zabić jego moralność. Jeśli nie da się uczynić zeń trupa, należy przynajmniej sprawić, żeby był jako chory, ropiejący i gnijący w łożu. Trzeba mu wszczepić zarazę, wywołać dziedziczny trąd, wieczną anarchię i niezgodę. Trzeba ich skłócić tak, aby się podzielili i szarpali, zawsze gdzieś szukając arbitra. [...] Stworzymy tam nową oligarchię, która będzie okradać własny naród nie tylko z godności i siły, lecz po prostu ze wszystkiego, głosząc przy tym, że wszystko, co czyni, czyni dla dobra ojczyzny i obywateli".

Niestety od roku 1990 opisana fikcja coraz bardziej niebezpiecznie przypomina realia, w których przychodzi nam żyć. Grzeszną naiwnością byłoby sądzić, że takie rozmowy nie odbywają się współcześnie pomiędzy stolicami od zawsze zainteresowanymi, by nie mieć w Polsce konkurenta na każdym polu aktywności.

Polacy bardziej zorientowani propaństwowo i mający rozeznanie w historii politycznej nie mogą uwolnić się od myśli, że czuć tu ducha Carla von Clausewitza, Katarzyny II i – co najbardziej przykre – Fryderyka II. Jego słowa: „Dla zdobycia pieniędzy [Polacy] gotowi są do największych podłości, ale po ich uzyskaniu wyrzucają je za okno" okazują się po części prawdą. „Podłość" zarezerwowana jest dla tej części klasy politycznej, która kawałek po kawałku pozwalała obcym siłom przejmować kolejne dziedziny naszego życia państwowego, zadowalając się w zamian rolą klucznika naszych sreber rodowych, które oddali obcym. I z bólem trzeba przyznać też Fryderykowi rację, gdy twierdził, że wyrzucamy pieniądze przez okno. Dlaczego? Polacy po 1989 roku byli najciężej pracującym społeczeństwem w Europie, potężnym wysiłkiem wyrównywali zapóźnienia cywilizacyjne po komunizmie. Tyle że wskutek krótkiej pamięci w kolejnych wyborach znowu oddawali się tym politycznym siłom, które za funkcje klucznika bez przytomności trwoniły ich dorobek dla obcych państw.

Prawicowi publicyści tłumaczą w dobrej wierze, że dopiero gdy rządy Tuska zaczną „rąbać ich na kasie" – używając znanego sloganu filmowego – to wtedy przyjdzie opamiętanie. Trzeba tylko, by PiS przez ten czas się nie rozpadło, prezes pozostał w zdrowiu, a przy następnych wyborach sinusoida da fazę zwyżkową obozowi prawicy.

> GALWANIZACJA PROCESÓW ROZBIOROWYCH PO 13 GRUDNIA, KIEDY KOALICJA PLATFORMY, LEWICY I TRZECIEJ DROGI PRZEJĘŁA WŁADZĘ, ZACZĘŁA KASKADOWO PRZYSPIESZAĆ.

> „PODŁOŚĆ" ZAREZERWOWANA JEST DLA TEJ CZĘŚCI KLASY POLITYCZNEJ, KTÓRA KAWAŁEK PO KAWAŁKU POZWALAŁA OBCYM SIŁOM PRZEJMOWAĆ KOLEJNE DZIEDZINY NASZEGO ŻYCIA PAŃSTWOWEGO.

Nie ma już czasu

Polska już nie ma komfortu na takie czekanie. Z jednej strony domyka się projekt federacyjny Unii Europejskiej, z drugiej wojna na Ukrainie, z trzeciej sama Ukraina, która nadal kosztuje nas miliardy, bo Donald Tusk w czasie wizyty w Kijowie obiecał Wołodymyrowi Zełenskiemu kolejne 5 mld zł.

Galwanizacja procesów rozbiorowych po 13 grudnia, kiedy koalicja PO, Lewicy i Trzeciej Drogi przejęła władzę, zaczęła kaskadowo przyspieszać. Odbieranie powagi polskiemu Sejmowi przez marszałka Hołownię i władzę niesie ze sobą jeszcze to niebezpieczeństwo, że stanowi kolejną cegiełkę do starej narracji zaborczej, o czym rozmawiamy w tym numerze „Tygodnika Solidarność" z prof. Zdzisławem Krasnodębskim – o Polsce jako kraju nieodpowiedzialnym, który nie potrafi sam się rządzić.

Carl von Clausewitz poczynił w 1812 roku obserwację, że „Rozbiory Polski były dziełem dobroczynnym. Zostały postanowione przez los, aby ten naród [polski], który od tysiąca lat trwa w takim stanie, raz na zawsze z niego wyzwolić". Oby coraz więcej europejskich elit nie myślało podobnie.

Rząd Tuska będzie kluczyć wokół sprawy reparacji

– Rząd Tuska ma świadomość, że sprawa reparacji jest ważna dla wyborców wszystkich formacji politycznych, dlatego udaje, że coś w tym temacie robi, np. występując z inicjatywą kreatywnego rozwiązania sporu. Nowy polski rząd oddaje Niemcom piłeczkę i mówi: „Słuchajcie, mamy problem, wy coś może zaproponujcie, a my z pocałowaniem ręki to przyjmiemy” – stwierdza poseł **Arkadiusz Mularczyk**, przewodniczący parlamentarnego zespołu, który przygotował „Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939–1945”, w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– Pod koniec stycznia nowy szef MSZ Radosław Sikorski wybrał się z wizytą do Berlina na spotkanie ze swoją odpowiedniczką Annalena Baerbock. Jednym z tematów, które poruszono, była kwestia odszkodowań wojennych. Szefowa niemieckiego MSZ nie odniosła się jednak bezpośrednio do tej kwestii. Jak wspomina Pan swoje spotkania z niemieckimi politykami, którym przedstawiał Pan raport o stratach poniesionych przez Polskę w czasie II wojny światowej w wyniku niemieckiej agresji?

Fot. Adam Chelstowski / Forum

– Większość niemieckich polityków była zszokowana tym, że publicznie podnosimy ten temat. Wielu z nich w żaden sposób nie odpowiadało na argumenty strony polskiej. Twierdzili, że sprawa jest już zamknięta i uregulowana. Rozmowy te pokazywały także małą wiedzę niemieckich decydentów na temat historii II wojny światowej, a w szczególności agresji i okupacji ziem polskich. Wówczas w niemieckim MSZ obowiązywała taka doktryna, że temat reparacji dla Polski należy przemilczeć, nie podejmować dialogu i prezentować twarde, a nawet aroganckie stanowisko. Niemcy obawiali się, że jakikolwiek gest w naszą stronę będzie odebrany jako korzystny dla PiS-u i pozwoli nam wygrać wybory.

Inna sytuacja była w niemieckim parlamencie. Tam było kilka środowisk, w szczególności myślę tutaj o Dietmarze Nietanie z SPD czy Manuelu Sarrazinie, który wcześniej był posłem, a teraz jest pełnomocnikiem rządu ds. rozszerzenia UE o Bałkany Zachodnie. Było też kilku posłów Lewicy i Zielonych, którzy uważali, że dialog z Polską należy w tej sprawie rozpocząć.

– Na konferencji prasowej minister Sikorski powiedział, że będzie prosił, aby niemiecki rząd „w kreatywny sposób pomyślał o tym, jak znaleźć formę rekompensaty tych strat wojennych czy zadośćuczynienia" także w wymiarze finansowym. Czy Polska powinna oddać inicjatywę niemieckim politykom w kwestii reparacji czy twardo domagać się tych 6 bilionów złotych, o które wcześniej wnioskował rząd PiS?

– Moim zdaniem w ten sposób Polska stawia się w roli petenta. Rząd Tuska ma świadomość, że sprawa reparacji jest ważna dla wyborców wszystkich formacji politycznych, dlatego udaje, że coś w tym temacie robi, np. występując z inicjatywą kreatywnego rozwiązania sporu. To jest taka trochę gra, w której nowy polski rząd oddaje Niemcom piłeczkę i mówi: „Słuchajcie, mamy problem, wy coś może zaproponujcie, a my z pocałowaniem ręki to przyjmiemy". Problemem Tuska i Sikorskiego jest jednak przygotowany przez nas raport, w którym rzetelnie pokazaliśmy rachunek za wojnę. Myślę, że jakiekolwiek „kreatywne" rozwiązanie, które byłyby promilem tej kwoty 6 bln złotych, nie będzie do przyjęcia przez polskie społeczeństwo i będzie potraktowane jako zdrada narodowa.

> MY W SPOSÓB ASERTYWNY DOMAGALIŚMY SIĘ OD NIEMIEC ODSZKODOWAŃ ZA STRATY WOJENNE. TO POSTAWA BERLINA BYŁA KONFRONTACYJNA. NA NASZĄ NOTĘ Z 3 PAŹDZIERNIKA NIEMCY ODPOWIEDZIELI BEZCZELNIE JEDNYM ZDANIEM, ŻE SPRAWA JEST ZAMKNIĘTA.

W mojej ocenie rząd Tuska będzie kluczyć wokół sprawy reparacji.

– Szef polskiej dyplomacji mówił także o projekcie Domu Niemiecko-Polskiego, który miałby powstać w Berlinie, by upamiętnić polskie ofiary wojenne. Ta inicjatywa, wcześniej znana jako „Miejsce pamięci i spotkań", narodziła się przed kilkoma laty w Niemczech i zyskała poparcie Bundestagu. Jak Pan ocenia ten pomysł? Warto się w to włączyć?

– To jest substytut, który ma zastąpić inicjatywę budowy pomnika polskich ofiar II wojny światowej. Jest to o tyle ważne, że w niemieckim społeczeństwie wymazano już odpowiedzialność Niemców za wojnę i zbrodnie na Polsce. Stawianie dzisiaj takiego pomnika wywołałoby zatem wielką dyskusję na temat tego, że w ogóle były polskie ofiary. W Niemczech wciąż spotykamy się ze stwierdzeniem, że na ziemiach polskich odbył się Holocaust, gdzie mordowani byli Żydzi, którzy nie mieli narodowości. To polityka, którą Niemcy kiedyś przyjęły i dziś ją kontynuują.

Ich zdaniem mordowani byli Żydzi, osoby LGBT, Sinti i Roma, a teraz mówi się także o upamiętnieniu świadków Jehowy. W ślad za tym cała polityka odszkodowawcza Niemiec opiera się na kategoriach ofiar ustalonych w oparciu o kryterium polityczne i wyznaniowe, pomijając aspekt narodowościowy. Odszkodowania wypłacane były ofiarom prześladowań religijnych i politycznych, także w ponad 80 proc. samym Niemcom, ale nie Polakom, Serbom, Ukraińcom czy Włochom.

Ta dyskusja o budowie pomnika polskich ofiar przeszła w poprzek tej narracji niemieckiej, która dla nas Polaków jest niewiarygodna. Dlatego Niemcy forsują pomysł Domu Niemiecko-Polskiego, który nie będzie skupiał się na polskim męczeństwie, ale będzie platformą współpracy władz polskich, o co w przeszłości apelowałem.

– Minister Sikorski mówił także o normalizacji stosunków z Niemcami i potrzebie konstruktywnego rozwiązywania różnic interesów bez konfrontacyjnej retoryki. W Pana ocenie polityka PiS wobec naszego zachodniego sąsiada była zbyt ostra?

– My w sposób asertywny domagaliśmy się od Niemiec odszkodowań za straty wojenne. To postawa Berlina była konfrontacyjna. Na naszą notę z 3 października Niemcy odpowiedzieli bezczelnie jednym zdaniem, że sprawa jest zamknięta. To ich postawa była bezczelna i konfrontacyjna. Nasze działania opierały się na respektowaniu międzynarodowego prawa do odszkodowania, do reparacji i ochrony praw człowieka. To Niemcy doprowadziły do sytuacji, że nie było dialogu międzyrządowego i musieliśmy na arenie międzynarodowej sięgnąć po narzędzia dyplomatyczne. Postawa niemieckiego MSZ była zresztą krytykowana przez część tamtejszych polityków.

– A czy bez wspomnianej „konfrontacyjnej retoryki" nowemu rządowi uda się coś ugrać w sprawie reparacji? Czy to tylko zasłona dymna dla opinii publicznej, aby pokazać, że rząd Donalda Tuska potrafi być asertywny i publicznie zażądać odszkodowań od Niemiec, wbrew zarzucanej mu przez opozycję proniemieckości?

– Myślę, że rząd Tuska przed wyborami prezydenckimi i europejskimi będzie unikać uregulowania tego tematu w sposób, który odbiegałby od oczekiwań społecznych. W mojej ocenie, Koalicja Obywatelska będzie prowadzić quasi-dialog z Niemcami i przedstawiać to jako sukces, ale do szybkich rozwiązań i zakończenia tego dialogu jednak nie dojdzie. To jest zbyt obszerne zagadnienie, które wymagałoby żmudnych i czasochłonnych negocjacji w wielu obszarach. Będą trwały negocjacje, udawane rozmowy, ale do finału nie dojdzie.

– Czyli nierealna jest Pana zdaniem sytuacja, w której niemiecki rząd przyzna Polsce stosunkowo niewielkie odszkodowania za II wojnę światową i tym samym definitywnie zamknie ten temat na przyszłość?

– To by wiązało się ze zbyt dużym oporem społecznym w naszym kraju, ale także w samych Niemczech, gdzie część środowisk CDU i AfD jest niechętna dialogowi z Polską w tej sprawie. Dlatego spodziewam się, że rozmowy w sprawie reparacji będą przeciągane do wyborów prezydenckich. W tym miejscu warto podkreślić, że twarde działania rządu PiS doprowadziły do tego, iż Sikorski musi o reparacjach z Niemcami rozmawiać. To nasz duży sukces, że nawet ten proniemiecki rząd Tuska musi o tej sprawie mówić, a temat odszkodowań dla Polski za straty wojenne wszedł na stałe do agendy rozmów polsko-niemieckich.

NIEMCY PRZYJĘLI POLITYKĘ, ŻE OFIARY ICH ZBRODNI NIE MIAŁY NARODOWOŚCI. MORDOWANI BYLI ŻYDZI, OSOBY LGBT, SINTI I ROMA, A TERAZ MÓWI SIĘ TAKŻE O UPAMIĘTNIENIU ŚWIADKÓW JEHOWY.

NIEMIECKIE ODSZKODOWANIA WYPŁACANE BYŁY OFIAROM PRZEŚLADOWAŃ RELIGIJNYCH I POLITYCZNYCH, TAKŻE W PONAD 80 PROC. SAMYM NIEMCOM, ALE NIE POLAKOM, SERBOM, UKRAIŃCOM CZY WŁOCHOM.

TRAKTOREM na Zielony Ład

Fot. Stephane Mahe / Reuters / Forum

Francuscy rolnicy pierwsi wyszli na ulice Brukseli i Paryża, aby wymusić wycofanie Unii Europejskiej z ideologicznych celów ekologicznych. Ich hasła generalnie żądające odejścia od radykalnej polityki klimatycznej Unii **zyskały popularność**, także wśród polskich rolników.

Teresa Wójcik

Francuski rolnik na traktorze stał się symbolem buntu przeciw polityce klimatycznej Unii Europejskiej. Francuscy rolnicy pierwsi wyszli na ulice Brukseli i Paryża, aby wymusić wycofanie UE z ideologicznych celów ekologicznych. Ich hasło „Zielony Ład do kosza" zyskało popularność.

Francuscy rolnicy skuteczniejsi niż żółte kamizelki

Francuscy rolnicy okazali się skuteczni, zmusili prezydenta Emanuela Macrona, aby przeciwstawił się elicie unijnej, przyznając, że Europa musi drastycznie zmienić swoje (zielone) przepisy dotyczące rolnictwa. Co więcej, Macron przyznał, że europejski sektor rolny znajduje się w poważnym kryzysie i dlatego musi drastycznie zmienić swoje zasady, po ostatnim szczycie europejskich przywódców w Brukseli potwierdził zaś, że Paryż jest przeciwny również porozumieniu o wolnym handlu z organizacją Mercosur, zrzeszającą kraje Ameryki Łacińskiej. Stwierdził, że pragnie „jasnych odpowiedzi w sprawie Mercosuru", dodając, że nie chce, aby umowa została podpisana w jej obecnej formie, ponieważ – jak stwierdził – nie ma gwarancji, że rolne produkty importowane z tych krajów Ameryki Południowej będą musiały przestrzegać zasad europejskich. Wbrew prezydentowi Francji Komisja Europejska ogłosiła, że kontynuuje negocjacje w sprawie umowy handlowej z południowoamerykańską organizacją Mercosur. – Unia Europejska kontynuuje negocjacje, aby osiągnąć porozumienie, które respektuje europejskie cele zrównoważonego rozwoju oraz kwestie dla nas wrażliwe, szczególnie w rolnictwie – zapowiedział rzecznik Komisji Europejskiej Christian Wiegand. UE i południowoamerykański blok krajów Mercosur, którego członkami są Argentyna, Brazylia, Paragwaj i Urugwaj, po dwudziestu latach negocjacji uzgodniły tekst umowy handlowej w 2019 roku. Jego realizacja będzie bankructwem europejskiego rolnictwa – zgodnie twierdzą Paryż i francuskie organizacje rolnicze. W gruncie rzeczy taki jest cel tej umowy, produkty europejskiego rolnictwa mają zostać wyeliminowane z rynku europejskiego. Francuscy rolnicy dobrze to odczytali.

> PREZYDENT MACRON DAŁ JASNO DO ZROZUMIENIA, ŻE JEŚLI BRUKSELA NIE POSŁUCHA ROLNIKÓW, SKRAJNA PRAWICA ZATRIUMFUJE W CZERWCOWYCH WYBORACH EUROPEJSKICH.

Protesty prawie w całej Europie, u nas też

W wielu krajach Unii Europejskiej nadal trwają protesty rolników. Nie zanosi się, że prędko wygasną, są bardzo dobrze zorganizowane, a co chyba jeszcze ważniejsze – mają poparcie dużej eurosceptycznej części społeczeństw europejskich. Zgłaszane liczne konkretne postulaty rolników sprowadzają się do jednej zasadniczej kwestii – nie ma zgody na przyjęty przez UE Zielony Ład.

Polscy rolnicy również żądają odejścia od Zielonego Ładu i rygorów „Fit for 55", podobnie jak niemal w całej Unii Europejskiej. Protest krajowy polskich rolników planowany był na piątek, 9 lutego, niestety dzień wcześniej oddaliśmy do druku „Tygodnik Solidarność", więc możemy tylko powołać się na deklaracje działaczy rolniczych.

– Żądamy wstrzymania pomysłów klimatycznych Komisji Europejskiej ograniczających produkcję rolną. Trzeba odstąpić od filozofii „Fit for 55". Trzeba zmienić politykę rolną i ją uprościć. Rekompensaty, które nam się dzisiaj proponuje z tytułu zobowiązań środowiskowych, wcale

nas nie powalają. To nie są rekompensaty, które pozwalają utrzymać nam gospodarstwa – powiedział Wiesław Burzyński, prezes Pomorskiej Izby Rolniczej, na spotkaniu z ministrem rolnictwa Czesławem Siekierskim.

Bardziej radykalny był pan Marek Boligłowa, wiceprezes Małopolskiej Izby Rolniczej. Powiedział nam: – Nasze postulaty są takie same jak w innych krajach Unii Europejskiej: Zielony Ład do wyrzucenia.

Realistyczne żądania polskich rolników

Dla polskiego rolnictwa najważniejsza sprawa to ekonomia. W ciągu miesiąca zboża paszowe straniały o przeszło 100 złotych. Dzisiaj nie ma możliwości wykazania zysku w gospodarstwie, uprawiając zboża paszowe. W związku z tym polscy rolnicy żądają jak najszybszego dofinansowania produkcji rolniczej. Oczekują także na odstąpienie od norm GAEC 8. Jest to obowiązek ugorowania części ziemi ornej w gospodarstwach rolnych. Unijna reforma Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023–2027 wymaga tego ugorowania z powodu przepisów związanych z ochroną klimatu i środowiska, które tworzą podstawowy poziom tzw. zielonej architektury Wspólnej Polityki Rolnej. Jeżeli będą obowiązywały – duże obszary ziemi ornej w Polsce będą leżały odłogiem z dużymi stratami dla rolników.

Wieś jest w zapaści. Nie ma działu, z którego da się wyżyć, gdzie rentowność będzie dodatnia – uważają polscy rolnicy. Żądają „zaprzestania i odwrócenia" rygorystycznych unijnych standardów środowiskowych i ochrony przed konkurencją importową, w tym zaprzestania masowego importu żywności z Ukrainy, między innymi zboża.

ESTABLISHMENT BOI SIE ROLNIKÓW, BO MOGĄ NP. SPARALIŻOWAĆ KLUCZOWE WĘZŁY LOGISTYKI ŻYWNOŚCI.

Czy europejska prawica wygra czerwcowe wybory do PE?

W obliczu zbliżających się wyborów do Parlamentu Europejskiego ani Berlin, ani Bruksela nie odważyły się wszcząć otwartej walki z rolnikami gotowymi np. przeprowadzić nalot na węzeł logistyki żywności na obrzeżach stolic i wielkich miast. W przeciwieństwie do zdezorganizowanego ruchu żółtych kamizelek, który niepokoił Macrona podczas jego pierwszej kadencji, francuscy rolnicy są pod silnym przewodnictwem potężnego związku rolników FNSEA i mają sojuszników we francuskich instytucjach, od gmin po parlament. Prezydent Francji – jak się wydaje – wręcz skapitulował przed żądaniami rolników, choć trudno ocenić, czy szczerze i na jak długo. Prawdopodobnie poczuł się zmuszony wobec silnej reakcji francuskiej prawicy, która bezwarunkowo wsparła rolników. Także w innych krajach UE prawica stara się wykorzystać niezadowolenie społeczne ze skutków transformacji ekologicznej. Francuski prezydent dał jasno do zrozumienia, że jeśli Bruksela nie posłucha rolników, skrajna prawica zatriumfuje w czerwcowych wyborach europejskich. Badania opinii publicznej pokazują, że mimo niewielkiej liczebności rolnicy cieszą się szerokim poparciem społeczeństw, co oznacza głęboką niechęć do polityki Brukseli, do Zielonego Ładu i całej transformacji energetycznej.

Jak dotychczas jednak przywódcy UE nadal realizują swój cel Zielony Ład i zrównoważony rozwój. Starają się osiągnąć jakieś porozumienie dzięki pozornym ustępstwom. Obecnie najważniejszym celem elit w Brukseli jest nie dopuścić do wygranej prawicy w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego.

WIEŚ JEST W ZAPAŚCI. NIE MA DZIAŁU, Z KTÓREGO DA SIĘ WYŻYĆ, GDZIE RENTOWNOŚĆ BĘDZIE DODATNIA – UWAŻAJĄ POLSCY ROLNICY.

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Pomnik Błękitnego Generała w Warszawie!

Jako jeden z niewielu najwyższych rangą polskich oficerów walczył kolejno z Rosjanami, Austriakami, Niemcami, Ukraińcami i Bolszewikami. Stał się wzorem żołnierza, obywatela, społecznika i wychowawcy młodzieży. Generał Józef Haller dawał przykład osobistego męstwa, wiary i poświęcenia. Ten Honorowy Obywatel Warszawy zasłużył na upamiętnienie w stolicy.

Podstawy polskiego harcerstwa czy Polskiego Czerwonego Krzyża, które współtworzył, dały asumpt do powstania prężnie działających do dziś organizacji społecznych. To doskonały wzorzec dla młodego pokolenia Polaków, którego patriotyczny i wychowawczy rozwój stanowił zawsze dla generała istotny fragment działalności.

Ceniony w stolicy Polski, ceniony w całym kraju, niezwykle serdecznie przyjmowany przez amerykańską Polonię, dodawał otuchy żołnierzom i cywilom, inspirował duchownych i świeckich, leciwych weteranów zrywów powstańczych, jak i akademicką młodzież. Zwalczał totalitaryzm nazistowski i komunistyczny. Swoją postawą przyczynił się do obrony Warszawy przed zajęciem jej przez barbarzyńskie oddziały bolszewickie w 1920 r. Po wygranej bitwie warszawskiej w Mińsku Mazowieckim przed obrazem Matki Bożej Anielskiej dziękował Bogu za otrzymane łaski i zwycięstwo.

Pomnik generała Józefa Hallera powstaje w stolicy staraniem niepodległościowych środowisk społecznych. Pomysł lokalizacji monumentu został lata temu wpisany w Plan Rewitalizacji Placu Hallera w miejscu postawionej tam tablicy pamiątkowej.

Zgodnie z obowiązującą w Warszawie procedurą wniosek w sprawie wzniesienia pomnika musiał trafić do Biura Stołecznego Konserwatora Zabytków. Jak można się było spodziewać, z niechęcią wobec inicjatywy wystąpili „prascy aktywiści" – ale na szczęście nieliczni.

Pomnik autorstwa artysty rzeźbiarza Stanisława Szwechowicza ma mieć całkowitą wysokość 3,90 m, w tym stojąca postać generała 2,50 m, a cokół 1,40 m.

Jak swoje dzieło opisuje artysta: „Projekt pomnika przedstawia postać gen. Hallera w pozie stojącej, prawa ręka oparta na szabli. Postać ukazana w swobodnej pozie – lekko rozchylony płaszcz wojskowy z charakterystycznym futrzanym kołnierzem, pod płaszczem mundur z atrybutami odpowiednimi dla epoki. Koncepcja ukazuje wybitnego dowódcę, jakim był gen. Haller, w ujęciu pełnym siły i energii. Stąd prócz elementu wojskowego – szabli, jest gest lewej ręki i dłoni, wskazującej jakby na umiejscowione na cokole osobiste przesłanie gen. Hallera: «Dla Ciebie Polsko i dla Twojej Chwały». Ten gest lewej dłoni jest przeznaczony dla obecnych i przyszłych pokoleń, wskazując na obowiązek wielkiego oddania dla spraw Ojczyzny.

Na jednej ze ścian cokołu znajdzie się tablica z czarnego granitu z tekstem «W hołdzie Polonii, która na wezwanie stawała zawsze, by bronić Ojczyzny. Dziś, tak jak kiedyś, bliska więź z Macierzą potrzebna jest Polsce, Europie i Światu. Chwała polskim Sokołom rozsianym po świecie broniącym wszędzie Ojczystego Gniazda»".

Ukraińska wojna toczy się również pod Moskwą

Choć wojna toczona przez Rosję na Ukrainie nie schodzi z pierwszych stron gazet, rzadko przedostają się do zachodnich mediów informacje o echach tej wojny z serca Rosji. A ukraińskie służby specjalne przez ostatnie dwa lata nie zasypiały gruszek w popiele, finansując – choć skromnie – i wspierając rosyjski ruch oporu przeciwko Władimirowi Putinowi oraz przeprowadzając **coraz odważniejsze ataki** na rosyjską cyberprzestrzeń. Ukraińcom pod koniec stycznia udało się nawet wyłączyć serwer rosyjskiego ministerstwa obrony odpowiedzialny za łączność specjalną.

Wojciech Kulecki

Fot. Adobe Stock

Wojna, którą Rosja prowadzi na Ukrainie, pozwoliła odsłonić wszystkie słabe strony armii Kremla. I choć wciąż jest to potęga, armia – jeszcze do niedawna uważana za drugą, po amerykańskiej, w świecie – okazała się jednym z najsilniej zinfiltrowanych przez zachodnich, chińskich i, w końcu, ukraińskich agentów wywiadu, którzy nie tylko pozyskują, ale również upowszechniają i wykorzystują informacje dotyczące faktycznej liczebności wojsk rosyjskich walczących na Ukrainie oraz faktyczne morale armii Putina, ale także strategicznych dla tych wojsk celów i planów prowadzonej na Ukrainie krwawej ofensywy.

Szczegółowe dane już nie takie tajne

To dzięki nim wiemy – o czym informuje Instytut Studiów nad Wojną – że spośród 60 tysięcy przebywających na Ukrainie moskiewskich sołdatów (17 pułków, 16 batalionów i dwie grupy taktyczne szczebla pułkowego i batalionowego), tylko jedna trzecia z nich posiada jakąkolwiek broń i sprzęt. Część spadkobierców Armii Czerwonej nie ma nawet odpowiednich na tę porę roku ubrań i musi ratować się mundurami i butami zdejmowanymi z poległych towarzyszy, o co nietrudno, bo Ukraińcy, choć w przeciwieństwie do Rosjan przestrzegają międzynarodowego prawa konfliktów zbrojnych – nie zabijają ani nie torturują jeńców, nie atakują również ludności cywilnej – w bitwach nie znają dla Rosjan lito-

ści. Wielokrotnie widziałem potyczki niewielkich oddziałów z rosyjskimi zwiadowcami, w których wybijano oddziały zwiadowców do ostatniego okupanta. Żeby wykryć te oddziały, ukraińscy żołnierze wykorzystują zwierzęta – koty i psy, które w nocy reagują na nawet najmniejszy (choć wciąż niesłyszalny dla człowieka) dźwięk, pokazując, w którą stronę należy skierować ogień artylerii. Wykorzystują także telefony komórkowe ze specjalną aplikacją pokazującą aktywne, choć niesparowane z innymi urządzeniami odbiorniki Bluetooth i GPS. Kiedy Rosjanie weszli na Ukrainę, rozpoczęli bezprecedensowy w obecnym wieku rabunek sklepów i domów. Urządzenia elektroniczne, których możliwości do końca nie znali, lądowały w kieszeniach chciwych i prostych żołdaków, często byłych więźniów, pokazując precyzyjnie, gdzie ci znajdują się w określonym momencie. Dla pozbawionych cywilizacji rosyjskich obywateli republik azjatyckich ukraińskie ataki to niezrozumiała magia, wielu z nich złapanych przez ukraiński wywiad idzie więc na współpracę i za darowanie życia albo za niewielką opłatą przynoszą informacje interesujące przeciwnika.

Wyroki w sercu Rosji

Wojna rosyjsko-ukraińska toczy się również na terytorium Rosji. Działają tam przynajmniej dwie grupy partyzanckie, które również zajmują się zdobywaniem informacji, ale przede wszystkim dywersją. Oto pod koniec stycznia jedna z nich – ukraińsko-tatarski ruch oporu Atesz – wysadziła w powietrze rozdzielnicę elektryczną rosyjskich kolei, co skutecznie wstrzymało ruch pociągów przewożących pociski rakietowe na front.

„Przez długi czas sprawdzaliśmy trasy i harmonogramy logistyczne wojskowych pociągów towarowych wroga. Przygotowania opłaciły się. Dziękujemy (naszemu) agentowi za (wykonaną) pracę!" – poinformowało dowództwo Ateszu na Telegramie już po skończonej operacji. To nie pierwsza udana operacja Ateszu, który przyznaje się głośno do posiadania agentów nie tylko w armii lądowej, ale także we Flocie Czarnomorskiej. Wcześniej ruch oporu zasłynął wysadzeniem samochodu z dwoma oficerami rosyjskiej Gwardii Narodowej oraz uniemożliwianiem dostaw broni na front.

W głębi Rosji działają inne jednostki. Same siebie nazywają Siłami Demokratycznymi, ale o ich akcjach świat dowiaduje się – z powodów bezpieczeństwa – po wielu miesiącach. Ukraińska armia przekonuje, że to właśnie te działające w głębi Rosji oddziały odpowiadają za kilka udanych zamachów na wysokich rangą wojskowych rosyjskiej armii oraz m.in. za zabicie córki Aleksandra Dugina, głównego ideologicznego doradcy Kremla, człowieka numer dwa w Rosji.

> ROSYJSKA ARMIA OKAZAŁA SIĘ JEDNYM Z NAJSILNIEJ ZINFILTROWANYCH PRZEZ ZACHODNICH, CHIŃSKICH I, W KOŃCU, UKRAIŃSKICH AGENTÓW WYWIADU.

Cyberwojna w Federacji

Na przełomie stycznia i lutego ukraiński wywiad poinformował, że jego specjaliści przeprowadzili udany atak na jeden z serwerów resortu obrony Rosji. Komputer, który padł podczas ataku hakerów spod niebiesko-żółtej flagi, to gigantyczny serwer znajdujący się w centrum Moskwy i odpowiadający za łączność specjalną między resortem obrony a dowódcami wojsk prowadzącymi wojnę na Ukrainie. Ukraińcy natychmiast dodali, że oprogramowanie na zaatakowanym serwerze było zatwierdzone przez rosyjską Federalną Służbę Bezpieczeństwa jako odpowiadające państwowym standardom ochrony informacji. To samo oprogramowanie zainstalowano na różnych rosyjskich obiektach strategicznych, więc wywiad z siedzibą w Kijowie zapowiedział kolejne ataki, „aż do skutecznego zupełnego oślepienia i ogłuszenia przeciwnika".

Również zwykli Rosjanie odczuwają cyberaktywność ukraińskich sił specjalnych. 31 stycznia Rosję spotkały największe w jej historii zakłócenia internetowe. Nie działały setki stron i większość aplikacji mobilnych. Na kilka godzin odmówiły posłuszeństwa serwery Yandexu, rosyjskiego odpowiednika zachodniego Google'a, serwisu VKontakte, a także największego banku detalicznego w tym kraju – Sberbanku. Nie można było również logować się i korzystać z usług publicznych. Przywrócenie wszystkich serwisów zajęło rosyjskim służbom niemal 10 godzin, ale w społeczeństwie Federacji Rosyjskiej wywołało oczekiwany efekt. Ukraińcy pokazali, że tzw. operacja specjalna jest krwawą wojną wywołaną przez Moskwę, a jej konsekwencje zaczną od teraz ponosić również Rosjanie.

USA: wybory i inwazja migrantów

– Mamy prawo do **obrony przed inwazją** – stwierdził twardo Greg Abbott, gubernator Teksasu, w odpowiedzi na presję prezydenta Joe Bidena dążącego do zakazu zamknięcia południowej granicy Stanów Zjednoczonych przed najazdem setek tysięcy migrantów z Południa. Na ile jest to spontaniczna ucieczka ogromnych mas ludności przed ubóstwem, na ile kampania skierowana świadomie przeciw USA? Na sprowokowanie rozpadu Ameryki?

Teresa Wójcik

Chaos na południowej granicy USA stał się na tak groźny, że gubernator Teksasu Greg Abbott posłał na granicę żołnierzy Gwardii Narodowej, czyli regularne siły zbrojne podlegające władzom stanowym. Skomentował przy tym: – Nie zrezygnujemy z ochrony naszego całego państwa. Oprócz tego jak każdy stan mamy konstytucyjne prawo do samoobrony w wyniku inwazji na południowej granicy. Dla przykładu: w miasteczku Eagle Pass nad rzeką Rio Grande w listopadzie i grudniu w dzielnicy Shelby Park nielegalnie granicę przekraczało dziennie 3–4 tysiące ludzi. Dokumenty stwierdzające tożsamość średnio miała co 45. osoba. Znacznie częściej w tobołkach, plecakach, kieszeniach migranci przemycają do amerykańskiego raju miliony dawek fentanylu oraz tysiące funtów metamfetaminy. – To ich zaopatrzenie na życie konieczne na start w nowym amerykańskim środowisku. Nie wiedzą, że to zakazane – wyjaśnia na meksykańskim YouTubie aktywistka Roy Millshel z NGO „Welcome to Arizona". Do września pomagała nielegałom na granicy meksykańskiej, obecnie NGO nie mają wstępu na te tereny. Meksykański komentator na YouTubie szczerze przyznał, że fentanyl i metamfetaminę po drodze masowo dostarczają migrantom meksykańskie gangi narkotykowe. Mają swoje sposoby na utrzymywanie kontaktu z tak „obdarowanymi" kandydatami na obywateli USA. Podejrzewa się, że za pośrednictwem wolontariuszy

Fot. AA/ABACA / Abaca Press / Forum

Gwardia Narodowa Stanów Zjednoczonych na granicy w Shelby Park; Eagle Pass, Teksas, USA, 30 stycznia br.

werbowanych do niedawna przez rozmaite NGO do pomagania nielegalnym migrantom.

Od pewnego czasu graniczne stany – z wyjątkiem rządzonej przez Demokratów Kalifornii – stosują specyficzny sposób pomocy migrantom. Niemal natychmiast po (nielegalnym) przekroczeniu granicy USA zaprasza się ich do podstawionych autobusów i odwozi na Północ, do dużych miast, w których rządzą Demokraci. Gdy kolumna autobusów jest już w drodze, powiedzmy do Chicago, miejscowy mer – demokrata dostaje od tych migrantów informację z iPoda, że za kilka godzin zagoszczą w jego mieście. System się sprawdza doskonale, z oczywistych przyczyn demokratyczny mer nie może odmówić gościny. Tym bardziej że większość z tych miast to tzw. sanktuaria – kto w nich mieszka, korzysta z ochrony azylu. W ten sposób duże miasta w USA rządzone przez Demokratów mają poważny niedostatek najtańszych mieszkań. Dotychczas w tych mieszkaniach władze miejskie kwaterowały najbiedniejszą lokalną ludność zwykle czarną lub latynoską. Obecnie tę ludność się wykwaterowuje, żeby zrobić miejsca stałego pobytu dla migrantów. Wykwaterowuje się również podopiecznych domów opieki społecznej, a nawet schronisk dla samotnych weteranów wojskowych – choć w tym przypadku nie ma zgody Departamentu Obrony. Podobnie najbiedniejszej ludności w tych miastach odbiera się socjal, gdyż „uchodźcy z Południa potrzebują socjalnej pomocy najbardziej ze wszystkich" – jak wyjaśniła w programie CNN działaczka Partii Demokratycznej. Sytuacja w niektórych miastach stała się krytyczna, jak powiedzmy w Nowym Jorku, który jest u progu bankructwa. Tymczasem autobusy z migrantami wciąż przybywają do tych kilkunastu miast w USA. Demokraci jednak nie protestują przeciwko masowej inwazji z Południa, najwyżej coraz energiczniej domagają się dofinansowania z budżetu miast, w których osiedla się nielegalnych. Coraz ostrzej protestują graniczne stany na Południu. Podobnie jak rząd PiS w Polsce na granicy z Białorusią republikański gubernator Teksasu – z dużym poparciem społeczności tego stanu – zainstalował ogrodzenie na granicy z Meksykiem. Okazało się skuteczne, dało efekt znacznego zmniejszenia mas migrantów nielegalnie przechodzących do Teksasu. Przez teren niedużego zadrzewionego Shelby Park w miasteczku Eagle Pass dziennie przechodziło 3–4 tys. nielegalnych przybyszy. Gdy postawiono ogrodzenie z drutu kolczastego, na ten teren przedostają się średnio trzy osoby dziennie. Tyle że prezydent Biden chce, aby federalna Straż Graniczna zniszczyła to ogrodzenie.

TEKSAS NAZYWANY JEST „STANEM SAMOTNEJ GWIAZDY". ZANIM PRZYSTĄPIŁ DO UNII, BYŁ NIEPODLEGŁYM PAŃSTWEM.

Teksas ma najdłuższą i najtrudniejszą do zabezpieczenia granicę z Meksykiem, a więc największą skalę zagrożenia bezpieczeństwa. W ocenie Republikanów sprawujących władzę w stanie Teksas jest samotny wobec tego zagrożenia. W historii, zanim przystąpił do Unii (do Stanów Zjednoczonych), Teksas był dziewięć lat suwerennym państwem od 1836 do 1845 r. Samodzielnie i samotnie wywalczył suwerenność w nierównej wojnie z Meksykiem – od słynnej obrony fortu Alamo do rozgromienia

armii meksykańskiej przez Samuela Houstona w bitwie pod San Jacinto. Z uwagi na tę historię Teksas nazywany jest „Stanem Samotnej Gwiazdy" (Lone Star State). Mieszkańcy Teksasu są bardzo dumni z początków swojej historii, ich stan jako jedyny był niepodległym państwem. O walce o niepodległość przypomina na oficjalnej fladze srebrna Samotna Gwiazda. Dlatego obecny konflikt z Białym Domem, z prezydentem demokratą, dla ogromnej większości Teksańczyków ma gdzieś głęboko wpisaną „samotność". Zwłaszcza wobec inwazji z latynoskiego Południa jako powtórki z historii. Teksas nie chce się poddać, wolałby (?) wystąpić z USA.

Republikanie bronią gubernatora Abbotta

Republikanie w Kongresie i w całych USA ostro poparli Grega Abbota, oceniając konflikt jako przykład bezprawnej federalnej ingerencji w konstytucyjne prawa stanów do samoobrony. Republikanin Clay Higgins (ze stanu Luizjana) zasiadający w Izbie Reprezentantów powiedział, że administracja Bidena „inscenizuje wojnę domową". Pomiędzy wiecami kampanii a wystąpieniami w sądzie Donald Trump wezwał, aby „wszystkie stany były gotowe do rozmieszczenia swoich żołnierzy Gwardii Narodowej w Teksasie", aby pomóc w realizacji konstytucyjnego prawa stanu do samoobrony. Jeszcze w grudniu ub.r. na granicy Teksasu i Meksyku pojawiło się kilku gubernatorów ze stanów, które popierają Samotną Gwiazdę w kwestii „prawa do samoobrony". Obecnie Abbota i Teksas wspiera ponad połowa gubernatorów Stanów Zjednoczonych. W pierwszych dniach lutego do Teksasu wmaszerowała z narodowym poparciem kolumna działaczy konserwatywnych z innych stanów licząca setki tysięcy ludzi. Oddziały Gwardii Narodowej do pomocy na granicy przysłali gubernatorzy stanów Arkansas, Tennessee i Wirginia.

Wsparcie dla Teksasu rośnie w całych Stanach Zjednoczonych. Gdy oddajemy do druku ten numer „Tygodnika Solidarność", ponad połowa gubernatorów stanów oficjalnie przypomina, że konstytucja USA gwarantuje stanom prawo do samoobrony, jeśli grozi im zewnętrzna inwazja. Teksas wyraźnie stoi w obliczu inwazji – stwierdzają gubernatorzy.

Spór o graniczną zaporę

W styczniu Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że funkcjonariusze federalni mają prawo usunąć ogrodzenie z drutu kolczastego. Jednak ogrodzenia obecnie broni Gwardia Narodowa stanu Teksas oraz – jak wspomniano – oddziały tej Gwardii z trzech innych stanów. Trzeba podkreślić – dotychczas władze federalne broniły praw nielegalnych migrantów do nielegalnego przekraczania granicy i nielegalnego osiedlania się na terytorium USA. Rosnące w związku z tym napięcia niektóre media określają jako powtórkę z wojny secesyjnej 1861–1865.

MIGRANCI PRZEMYCAJĄ DO USA MILIONY DAWEK FENTANYLU ORAZ TYSIĄCE FUNTÓW METAMFETAMINY. TO ICH ZAOPATRZENIE NA ŻYCIE KONIECZNE W NOWYM AMERYKAŃSKIM ŚRODOWISKU.

Konflikt migracyjny zdecyduje o tegorocznych wyborach w USA?

Konflikt migracyjny stał się głównym problemem w tegorocznej kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych. Bezpieczeństwo południowej granicy może być jednym z czynników determinujących w USA wynik wyborów (prezydenckich i do Kongresu) w 2024 r. Jednocześnie spory o bezpieczeństwo granicy z Meksykiem wywołują problemy z amerykańską pomocą wojskową dla Ukrainy. Możliwe, że spór o bezpieczeństwo granic będzie próbą dla obecnej siły systemu politycznego USA.

Europa nie rozumie realiów Stanów Zjednoczonych

W Europie patrzy się na sytuację polityczną w USA w głównej mierze poprzez dylemat, kto po 2024 r. zostanie prezydentem. Odnosząc to, co oczywiste, do kwestii transatlantyckich – przyszłości NATO, relacji USA – Unia Europejska oraz do postawy Białego Domu wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę. Wszystko to świadczy o tym, że Europa zupełnie nie rozumie USA, ich wewnętrznych mechanizmów i rozwiązań prawno-systemowych. Tymczasem skupianie się na efektach końcowych, tj. „czy Donald Trump czy ktoś inny", pomija kluczowe czynniki, które najprawdopodobniej rozstrzygną wyścig do Białego Domu, co równie ważne – także do Kongresu, ponieważ w listopadzie 2024 r. poznamy wyniki wyborów 435 deputowanych do Izby Reprezentantów, gdzie obecnie kontrolę mają Republikanie, oraz wyborów na 34 senatorów do Senatu, gdzie przewaga Demokratów to tylko dwa

mandaty, które Partii Demokratycznej zapewnią posiadanie wiceprezydenta jako szefa Senatu.

Prezydent Biden jak dotychczas nie zapowiedział, że podejmie wspomnianą, mocno ryzykowną decyzję o federalizacji Gwardii Narodowej. Jednak przedstawiciel Demokratów w Izbie Reprezentantów Joaquin Castro nalegał, aby prezydent taką decyzję podjął. Abbott odpowiedział 6 lutego, że jest gotowy na „niesamowite wydarzenie", którym będzie federalizacja Gwardii Narodowej przez prezydenta Bidena.

Biden zapewne nie jest świadomy, że taka jego decyzja może bezpośrednio spowodować wystąpienie Teksasu z USA.

Co się dzieje z projektem ustawy granicznej?

Administracja Bidena współpracowała z kilkoma republikańskimi kongresmenami, aby osiągnąć senackie porozumienie w sprawie ustawy o ochronie granicy. Porozumienie miało łączyć tę sprawę z dalszym finansowaniem militarnego wsparcia dla Ukrainy i Izraela, wiążąc priorytet Demokratów: wsparcie Kijowa, z priorytetem Republikanów: bezpieczeństwo granicy USA. Zaproponowany ostatecznie projekt tej ustawy podobno przewidywał obowiązkowe zatrzymanie karne wszystkich dorosłych migrantów przybywających bez dzieci, którzy nielegalnie przekroczą granicę z Meksykiem, a także zamknięcie oficjalnych przejść granicznych, jeśli danego dnia odnotuje się przybycie 5 tys. nielegalnych migrantów. Wpływowi demokraci uznali jednak, że presja na Bidena, aby zgodził się na taką bipartyjną ustawę, będzie gwałtownym przesunięciem w prawo amerykańskiej polityki granicznej i imigracyjnej, na co Partia Demokratyczna nie może się zgodzić. Nie jest z tego projektu zadowolona także druga strona. Choć senatorowie republikańscy w Senacie wydawali się skłonni do głosowania za tą ustawą, republikanie w Izbie Reprezentantów są jej zdeterminowanymi przeciwnikami. Spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson wielokrotnie wskazywał, że projekt tej ustawy nie zasługuje na głosy republikanów.

Prezes Teksaskiego Ruchu Nacjonalistycznego Daniel Miller opowiada się za prawem Teksasu do pełnej niepodległości. Udziela też solidnego wsparcia polityce gubernatora Abbotta, którą rozumie ostatecznie jako texit. Tymczasem faktem jest, że obecnie większość gubernatorów stanowych bezwarunkowo popiera Grega Abbotta. To może znaczyć, że obecnie w amerykańskiej Unii istnieją głębsze podziały, które mogłyby doprowadzić do kolejnej wojny domowej, a w każdym razie już w tej chwili znaczą więcej niż kryzys konstytucyjny. Miller i Abbott uznają, że dla przywódców Partii Demokratycznej i dla kilku stanów, w których – jak w Kalifornii – mają przewagę, nie jest ważne istnienie potężnych Stanów Zjednoczonych, lecz uznanie „wiązki lewicowych haseł opakowanych w demokrację".

W PIERWSZYCH DNIACH LUTEGO DO TEKSASU WMASZEROWAŁA Z NARODOWYM POPARCIEM KOLUMNA DZIAŁACZY KONSERWATYWNYCH Z INNYCH STANÓW LICZĄCA SETKI TYSIĘCY LUDZI.

Jedyna osoba, która obecnie na prawicy rywalizuje z Donaldem Trumpem, Nikki Haley w jednym jest z nim zgodna. Teksas ma prawo do secesji, jeśli tego chce. Teksas ma prawo odłączyć się od Stanów Zjednoczonych, jeśli zdecydują się na to jego obywatele, przekonywała w ubiegłą środę republikańska kandydatka na prezydenta w wywiadzie dla programu radiowego „The Breakfast Club". – Jeśli cały ten kraj powie: „Nie chcemy już być częścią Ameryki", to znaczy, to jest ich decyzja – powiedziała Haley, choć zauważyła też: – Porozmawiajmy o tym, jaka jest rzeczywistość.

NIKKI HALEY RYWALIZUJĄCA Z DONALDEM TRUMPEM O KANDYDATURĘ PREZYDENCKĄ W JEDNYM JEST Z NIM ZGODNA. TEKSAS MA PRAWO DO SECESJI, JEŚLI ZDECYDUJĄ SIĘ NA TO JEGO OBYWATELE.

Pożar wywołany spadającymi fragmentami rosyjskiej rakiety; Kijów, 7 lutego br.

Fot. Ukrinform/ABACA / Abaca Press / Forum

Zwycięstwo z kroplą goryczy

Choć Ukraina wygrała proces przeciwko Rosji przed głównym sądem ONZ, czyli Międzynarodowym Trybunał emSprawiedliwości, rządowi prawnicy w Kijowie nie mogą mówić o pełnym sukcesie. Trybunał odrzucił bowiem wniosek Ukrainy o rosyjskie odszkodowanie za wojnę rozpoczętą w 2014 roku zajęciem Krymu i buntem w Ługańsku i Doniecku. Nie wydał także orzeczenia w sprawie rosyjskiej odpowiedzialności za zestrzelenie malezyjskiego samolotu MH-17 nad wschodnią Ukrainą w 2014 roku. To pokazuje, jak bardzo **nieprzygotowani** byli do procesu ukraińscy prawnicy.

Wojciech Kulecki

Próba złożenia pozwu przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości, najważniejszym sądem na świecie działającym w ramach ONZ i zrzeszającym sędziów będących przedstawicielami wszystkich światopoglądów i religii, była dla Ukrainy ważna nie tylko na gruncie prawa międzynarodowego.

Niepełna wygrana

Proces w najważniejszym w Europie budynku sądowym w Hadze – w Pałacu Pokoju, który jest także siedzibą międzynarodowego Stałego Trybunału Arbitrażowego – miał wykazać, że Rosjanie, a szczególnie ich przywódcy, popełniali nie tylko zbrodnie wojenne, ale także zbrodnie przeciwko ludzkości i masowe morderstwa, w tle których znajdowały się także rasizm i przekonanie o wyższości Rosjan nad Ukra-

ińcami i resztą mieszkańców Europy. Prawdę mówiąc, Rosja nigdy nie ukrywała, że Ukraina i jej mieszkańcy są sztucznym i niezrozumiałym tworem zawdzięczającym dostęp do cywilizacji wielowiekowej moskiewskiej okupacji – rosyjski polityk Dmitrij Miedwiediew w swoich styczniowych wynurzeniach na Telegramie twierdzi wprost, że „Ukraina nie powinna istnieć w żadnej formie i jest niczym więcej niż rakową narośla" na rosyjskim imperium.

Fakt, że ukraińscy prawnicy nie przedstawili odpowiedniego materiału dowodowego w najgłośniejszym od ponad pół wieku w MTS akcie oskarżenia przeciwko Rosji, w części tłumaczy to, że Ukraina jest pogrążona w krwawej wojnie i dzisiaj ważą się losy tego kraju. W części stało się tak dlatego, że administracja ukraińska spoczęła na laurach, osiągając kilka pierwszych sukcesów przed międzynarodowymi trybunałami – m.in. wydanie w ubiegłym roku międzynarodowego nakazu aresztowania prezydenta Rosji Władimira Putina oraz podległej mu komisarz do spraw dzieci (odpowiednika rzecznika praw dziecka) Marii Lwowej-Bielowej za popełnienie zbrodni wojennych, w tym uprowadzenie dużej, choć nieokreślonej do końca liczby ukraińskich dzieci do Rosji i wynarodawianie ich. Putin skutecznie unika aresztowania – nie jeździ z wizytami do krajów, które podpisały traktat o przyjęciu do MTK.

Sukcesem była również decyzja Europejskiego Trybunału Praw Człowieka o podjęciu śledztwa w sprawie zestrzelenia samolotu MH-17 nad wschodnią częścią Ukrainy po skardze złożonej wspólnie przez rządy holenderski i ukraiński.

ETPC będzie się zajmował tą sprawą i nie oddalił pozwu na wniosek Rosji, choć wyrok zapadnie po zbadaniu merytorycznych dowodów później – oświadczył rzecznik ETPC.

Tej samej sprawy nie chce jednak badać Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, którego sędziów zdaniem była ona w niewłaściwy sposób dowodzona, a więc uniemożliwia zbadanie, czy w kwestii zestrzelenia samolotu można stawiać oskarżenie Rosji.

Skład Trybunału miał znaczenie

ONZ-owski trybunał w Hadze odmówił Ukrainie również praw do odszkodowań od Rosji za rozpoczęcie działań secesyjnych we wschodnich regionach Ukrainy w 2014 roku.

Jednak MTS przyznaje, że Rosja naruszyła część zapisów konwencji ONZ o zwalczaniu finansowania terroryzmu. Przyznaje też, że Moskwa naruszyła traktat antydyskryminacyjny ONZ. W jaki sposób? „Państwo naruszyło również traktat, nie chroniąc edukacji w języku ukraińskim na Krymie" – informuje Trybunał.

„Rosja naruszyła przepisy prawa międzynarodowego, nie sprawdzając wsparcia finansowego dla grup separatystycznych we wschodniej Ukrainie w 2014 roku" – pisze w orzeczeniu Trybunał. 16-osobowy panel sędziowski nakazał Rosji zbadanie wszelkich zarzutów finansowania terroryzmu.

> MTS PRZYZNAJE, ŻE ROSJA NARUSZYŁA CZĘŚĆ ZAPISÓW KONWENCJI ONZ O ZWALCZANIU FINANSOWANIA TERRORYZMU.

Sekretem łagodnego podejścia do rosyjskich zbrodni jest również skład Trybunału, w którym ponad połowa sędziów delegowana jest z krajów przyjaznych Moskwie lub od niej zależnych. To między innymi budowie sojuszu w trybunałach służyła ubiegłoroczna afrykańska akcja dyplomatyczna Siergieja Ławrowa, szefa rosyjskiej dyplomacji, który odwiedził niemal połowę krajów na Czarnym Kontynencie. Temu służyła również dyplomatyczna ofensywa Rosji na forum ONZ potępiająca ataki Izraela na Strefę Gazy i groźby kierowane do krajów arabskich z Tel-Awiwu.

Zapowiedź procesu przeciwko zbrodniarzom

To wystarczyło, żeby ukraińskiego pozwu nie poparli sędziowie Ugandy, Maroka, Libanu i Somalii. Chiny, Indie i Brazylia są oczywistymi sojusznikami Kremla, szczególnie że dzięki taniej rosyjskiej ropie (formalnie obłożonej sankcjami, ale sprzedawanej za pół ceny właśnie tym krajom) mocno na znaczeniu zyskała powiększająca się grupa państw BRICS (jej założycielami są Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i Afryka Południowa). Sędzią, którego głos przeważył, był... Rosjanin. W składzie Trybunału obecnej kadencji nie ma przedstawiciela Ukrainy.

Wygrana Kijowa w procesie przed MTS, choć wyłącznie symboliczna, będzie miała ogromne znaczenie już po zakończeniu wojny z Rosją. Z pominięciem Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego Ukrainie udało się wygrać pierwsze postępowanie w sprawie wywołanej przez Rosję wojny w ramach ONZ. Wcześniej ONZ-owskie rezolucje były przez Rosję skutecznie blokowane. To wystarczy także, żeby w przyszłości rozpocząć postępowanie, które – zdaniem kijowskich prawników – skończyć się może procesem na wzór procesów norymberskich po II wojnie światowej i wyrokami skazującymi dla wszystkich odpowiedzialnych za tragedię dziejącą się u wschodniego sąsiada Polski.

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA

Świat dżihadystów

Marek Jan Chodakiewicz

O tym, jak wygląda świat dżihadystów, opowiada Omar Nasiri w swoich wspomnieniach „Inside the Jihad: My Life with Al Qaeda" [Wewnątrz dżihadu: Moje życie z Al-Kaidą] (New York: Basic Books, 2006). „Omar Nasiri" to pseudonim podwójnego czy potrójnego agenta, a jednocześnie świetny wgląd w duszę takiego człowieka, a raczej paranoiczny system psychiczny, który takich ludzi charakteryzuje. Nasiri zdradza wszystkich, łącznie z samym sobą. Właściwie trudno stwierdzić, co w tym pamiętniku jest prawdą. Wiele rzeczy wygląda na naciągane, szczególnie tam, gdzie z butów dżihadysty – zachodniego szpiega wystaje bohaterska słoma muenchhasenowska. Chociaż z drugiej strony prawie wszystko jest możliwe.

Dostałem tę książkę od jednego z moich komandosów, który lakonicznie stwierdził, że „złapaliśmy go w Afganistanie, ale okazał się dobrem (asset) francuskim", czyli pracował dla francuskiego wywiadu, zresztą belgijskiego, niemieckiego i brytyjskiego też. Notabene we wspomnieniach nie ma nic o tym, że w Afganistanie ujęli go Amerykanie. Przygoda afgańska Nasiriego kończy się wręcz w latach dziewięćdziesiątych, gdy USA nie były takimi sprawami zainteresowane. Pamiętniki urywają się niedługo po 11 września 2001 r. Czyżby zjawił się tam po raz drugi?

Krótko: nasz bohater urodził się w Maroku, jego ojciec ściągnął całą rodzinę do Belgii. Ponieważ Nasiri chorował, umieszczono go w katolickim sierocińcu, nawet uczęszczał na katolickie nabożeństwa. Personel był jednak indyferentny i nie próbowano go pozyskać dla chrześcijaństwa. Pamięta jednak najlepiej to, że jego opiekun zastępczy nauczył go strzelać z pistoletu.

Następnie Nasiri obijał się, wrócił do Maroka, handlował narkotykami i sam się nimi szprycował. Z bagna wyciągnął go brat, który w międzyczasie się sfundamentalizował. Razem wrócili do Belgii, gdzie uczestniczyli w komórce islamistycznych terrorystów. Nie była to Al-Kaida, ale raczej pokrewna jej organizacja algierska. Nawiasem mówiąc wygląda na to, że całe towarzystwo było na zapomodze społecznej, chociaż szefowie szastali pieniędzmi jak sułtani.

Dzięki swoim kontaktom w narkotykowym półświatku gwiazdor swego pamiętnika potrafił znaleźć dojście do nielegalnych handlarzy bronią i materiałami wybuchowymi. Gdy odkrył, że szefowie jego komórki terrorystycznej urządzili sobie w domu jego matki tajny magazyn oraz że jego zakupy posłużyły do zamachów (wielka niespodzianka!), poszedł na skargę do wywiadu francuskiego. Stał się agentem. Doprowadził do wpadki swojej komórki, ale jednocześnie – aby się uwiarygodnić i z błogosławieństwem swego oficera prowadzącego – przeszmuglował do Maroka bombę, która następnie najpewniej eksplodowała w jego samochodzie umieszczonym strategicznie w Algierii.

Spalony w Europie na własną rękę przedostał się do Pakistanu. Jego celem było zinfiltrowanie obozów szkoleniowych Al-Kaidy. Początkowo związał się pomyłkowo z jakąś pacyfistyczną sektą islamską, która wysłała go na pogranicze z Indiami, aby siłami mistycznymi doprowadzić do zwycięstwa dżihadu z niewiernymi. Wnet jednak okazało się, że wewnątrz sekty działa agentura Al-Kaidy, która po sprawdzeniu go posłała Marokańczyka do Afganistanu. Tam Nasiri egzaltował się wspaniałym towarzystwem fanatyków, doprowadził swoje ciało i kondycję fizyczną do perfekcji, nauczył się rzemiosła terrorysty oraz podniecał się islamistyczną indoktrynacją. Pragnął zwycięstwa ulemy i triumfu kalifatu na świecie. Jak podkreśla, był to najwspanialszy okres jego życia.

Po pewnym czasie wrócił triumfalnie do Europy, złożył raport Francuzom i został przekazany wywiadowi brytyjskiemu. Na Wyspach szpiegował po meczetach, starał się odkrywać spiski i radykalnych islamistów. Potem przerzucono go do Niemiec, gdzie miał podobne zadania. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych odstawiono go na bok jako bezwartościowego, ożenił się, ustatkował. Po atakach terrorystycznych 11 września 2001 r. zgłosił się na ochotnika do pomocy wywiadowi niemieckiemu. Zignorowano go. W związku z tym napisał niniejsze wspomnienia.

Co w nich jest cennego? Po pierwsze, stan umysłu agenta, który jest jednocześnie dżihadystą i szpiegiem antyislamistycznym. Podkreślmy, on nie wczuwa się w te role. On ich nie gra. On po prostu jest i tym, i tym. Na tej samej stronie potrafi wyrazić zgrozę, ubraną w retorykę politycznie poprawnego socjalliberalizmu, z powodu aktów terrorystycznych, a zaraz obok szukać ich usprawiedliwienia językiem propagandowym prosto z podręczników Al-Kaidy: Zachód jest agresorem cywilizacyjnym i militarnym, poniża i atakuje muzułmanów i dlatego islamiści w samoobronie dokonują aktów terroru. Miejscami wygląda wręcz na to,

że pamiętniki napisał mu jakiś biały socjalliberał.

Po drugie, cenny jest sam życiorys. Marokański małolat, który powinien był zostać w domu i poganiać wielbłądy, zamiast tego wpada w objęcia belgijskiego państwa opiekuńczego i propagandy egalitarnej demokracji zachodniej, co doprowadza go do wybujałego pojęcia o sobie samym; do uzurpowania sobie nie wiadomo jakich praw (bez wkładania w życie żadnego wysiłku, poza sprzedażą narkotyków); do zakompleksiałego niedowartościowania; a w końcu do terroru. Jest to charakterystyczna droga wielu islamistów, którzy otarli się o Zachód i poczuli się odrzuceni przez „rasizm" tzw. białych chrześcijan. Po prostu taka jest dynamika zderzenia „Innego" z „Innym". Szczególnie gdy ten drugi „Inny" jest na wyższym szczeblu kultury materialnej, to wtedy podnosi się wyższość kultury duchowej własnej pierwszego „Innego", mówiąc żargonem postmodernistów.

Po trzecie, cenny jest opis mechanizmu radykalizacji. Oprócz rozziewu między egalitarną retoryką a praktyką Zachodu funkcjonują tutaj jako katalizator fanatyzmu ideologia islamistyczna oraz mass media i elektroniczne środki przekazu. To za pomocą kaset magnetofonowych można było wysłuchać kazań radykalnych mułłów. To za pomocą telewizji i wideo można było pooglądać sobie walki mudżahedinów w Afganistanie (źródło dumy) oraz poczynania „białych chrześcijan" (przede wszystkim Amerykanów) oraz, przedtem, Sowietów na całym świecie. Oni to na każdym kroku bili i poniżali muzułmanów. I militarnie, i kulturowo, i gospodarczo. Szczególnie groźna islamistom wydawała się globalizacja. A jednocześnie jednostkom muzułmańskim była miła, bo przynosiła rozrywkę i zyski. Stąd proislamistyczni sutenerzy i handlarze narkotyków żerujący ekonomicznie na ludziach Zachodu, a jednocześnie nienawidzący ich.

Po czwarte, cenne są opisy antropologiczne świata islamu w Europie i poza nią. Na przykład bardzo intersujący jest fragment ujęcia rzekomego agenta wywiadu zachodniego w obozie szkoleniowym Al-Kaidy w Afganistanie. Otóż facet, który wyglądał na Araba i mówił świetnie po arabsku, wpadł dlatego, że w drzwiach ustąpił miejsca wchodzącemu z naprzeciwka terroryście. Jego kamraci uznali, że coś takiego mógł uczynić tylko i wyłącznie człowiek Zachodu. W Trzecim Świecie normą jest przecież chamskie przepychanie się. Jednym słowem – zdekonspirował się dobrym wychowaniem. To śmiertelny błąd. Podstawą sukcesu każdego agenta jest wczucie się w kulturę wroga. Stąd najlepsi agenci to zdrajcy z szeregów wroga.

Wie coś o tym ppłk Anthony Shaffer, Operation Dark Heart: Spycraft and Special Ops on the Frontlines of Afghanistan – and the Path to Victory [Operacja Ciemne Serce: Szpiegostwo i operacje specjalne na frontach Afganistanu – oraz droga do zwycięstwa] (New York: St. Martin's Press, Thomas Dunne Books, 2010). Właściwie nie napisał nic odkrywczego, lecz jego wspomnienia są dobrym uzupełnieniem prac wymienionych powyżej. Shaffer jest oficerem wywiadu wojskowego USA. Zajmował się psych ops i black ops, czyli operacjami psychologicznymi i czarnymi, mokrą robotą. Walczył w Afganistanie po 11 września 2001 r. Po tzw. zwycięstwie ostrzegał o nadchodzącej eskalacji przemocy. Proponował infiltrację obozów Talibanu i Al-Kaidy w Pakistanie. Sugerował zmianę taktyki walki przeciw partyzantom. Jego przełożeni, zgodnie z dyktatem propakistańskiej linii polityki USA, nie zgadzali się na to. Pamiętnik Shaffera to świetny psychologiczny portret taktyka wywiadu na polu bitwy.

Jest naturalnie kilka ciekawostek. Po pierwsze, książka została ocenzurowana przez Pentagon. Są całe fragmenty z zaczernionymi stronami. Wydawnictwo umieściło odpowiednie przeprosiny. Po drugie, autor ujawnia aferę biurokratyczną, nie z Afganistanu, a z czeluści biurokracji wywiadu wojskowego w Pentagonie. Otóż Defense Intelligence Agency (DIA) w latach dziewięćdziesiątych miało informacje o komórce Al-Kaidy w Nowym Jorku (na Brooklynie). Wśród terrorystów na celowniku był sam Mohammet Atta, szef zamachowców z 11 września. Niestety DIA nie powiadomiła ani FBI, ani CIA, ponieważ: po pierwsze – istnieje między tymi instytucjami rywalizacja, po drugie – ich bazy danych nie są skoordynowane, oraz po trzecie, najważniejsze – adwokaci DIA obawiali się kłopotów prawnych, gdyby taką wiedzą podzielili się z kimkolwiek. Chodziło przecież o raczej nielegalną inwigilację obywateli i rezydentów USA przez wywiad wojskowy. Na koniec warto dodać, że fakt ten Shaffer ujawnił komisji badającej 9/11. I temat pogrzebano.

SZCZEGÓLNIE GROŹNA ISLAMISTOM WYDAWAŁA SIĘ GLOBALIZACJA. A JEDNOCZEŚNIE JEDNOSTKOM MUZUŁMAŃSKIM BYŁA MIŁA, BO PRZYNOSIŁA ROZRYWKĘ I ZYSKI.

Waszyngton, DC, 5 lutego br.

KULTURA

Znudziłam się marudzeniem I POSTANOWIŁAM DZIAŁAĆ

– Uwielbiam, gdy ludzie nie traktują mnie poważnie. A jeszcze bardziej lubię ich wyraz twarzy, kiedy wiedzą, jak bardzo się pomylili. Zdarzyło mi się to multum razy – mówi **Lena Góra**, aktorka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Marcin Idziński

Na 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni Lena Góra odebrała nagrodę za **najlepszą główną rolę kobiecą** w filmie „Imago". Była jednocześnie autorką scenariusza dzieła, które opowiada o matce aktorki.

– Obecnie, żeby grać w tym, w czym się chce, trzeba być reżyserką, scenarzystką i producentką w jednym?

– Nie. Jeśli grasz u Larsa von Triera, Jonathana Glazera, Justine Triet czy Jana Matuszyńskiego, to nie trzeba się martwić o nic. Wszystko zależy od konfiguracji. Nikomu nie polecam robić tych wszystkich rzeczy naraz, bo często wiąże się to ze średnim wykonaniem każdej z ról. Niezależne kino ma pewną wolność, ale za to wymaga wylewania siódmych potów od wszystkich zaangażowanych.

– Ubolewasz nad tym, że część ludzi nie traktuje nas – jesteśmy w podobnym wieku – poważnie przez PESEL, a jeszcze inni mówią nam, że to jest nasz ostatni dzwonek?

– Uwielbiam, gdy ludzie nie traktują mnie poważnie. A jeszcze bardziej lubię ich wyraz twarzy, kiedy dowiedzą się, jak bardzo się pomylili. Zdarzyło mi się to wiele razy.

– Wiele aktorek i aktorów narzeka na to, że nie dostaje ról ze względu na to, że nie mają rozbudowanych profili w mediach społecznościowych. Jak się do tego odniesiesz?

– Co za absurd. Śmieszny jest ten świat. Jeśli narzekają, to niech je sobie rozbudują i przestaną narzekać. Albo przynajmniej niech znajdą inny powód do narzekania, kiedy zobaczą, że im to nie pomogło.

– Byłaś na Oscarach i Złotych Globach. Dlaczego portale plotkarskie i telewizje śniadaniowe nie zabiegają o Twoją uwagę?

– Nie wiem, po co miałabym mówić o imprezach, na których byłam. Co kogo obchodzi impreza u cioci Basi. Mam świetną propozycję dla ludzi, którzy wciąż marudzą – można otworzyć Worda albo inny program tekstowy, napisać tam jakiś pomysł, zebrać znajomych i nakręcić film telefonem komórkowym.

– To jest skuteczne?

– Tak. Też marudziłam, że projekty, które do mnie przychodziły, nie były satysfakcjonujące, ale znudziłam się marudzeniem i postanowiłam działać.

– Skąd się bierze u polskich twórców brak dystansu do siebie?

– Ze strachu i niepewności siebie.

– Myślałaś o tym, żeby podbić polską scenę rapową?

– Myślę o tym nieustannie.

– Po polsku? Po angielsku?

– Jeśli w Polsce, to musi być po polsku.

– To teraz czas na „Imago"!

– OK. Ludzie bardzo mało wiedzą o trójmiejskiej scenie alternatywnej, to może dowiedzą się trochę więcej. Teraz rzadko słucha się takiej muzyki. Mało przygląda się też dzikiej, wolnej, mocnej sztuce, takiej, której nie bali się twórcy 30 lat temu, takiej, z której wylęgłam się niczym pisklak.

– Jak mama zareagowała na Twoją rolę?

NIEZALEŻNE KINO MA PEWNĄ WOLNOŚĆ, ALE ZA TO WYMAGA OD WSZYSTKICH ZAANGAŻOWANYCH WYLEWANIA SIÓDMYCH POTÓW.

U POLSKICH TWÓRCÓW BRAK DYSTANSU DO SIEBIE BIERZE SIĘ ZE STRACHU I NIEPEWNOŚCI.

– Mama od siedmiu lat mieszka nad jeziorem w domu na kółkach. Nie wiedziała, że otrzymałam nagrodę za tę rolę na festiwalu filmowym w Gdyni. Ma tylko radio i wiele rzeczy ją omija. Poza tym jest bardzo zabawna, mądra i sarkastyczna, ale też dzika i trudna. I o tym chciałam właśnie opowiedzieć, bo społeczeństwo w naszym kraju ma na takie zachowanie jeden komentarz: Szalona! Zresztą myśli tak też ze strachu.

– Jaki masz plan na promocję „Imago”?

– Nie mam. Ale trzymam kciuki za plan dystrybutorów! Bardzo chciałabym, żeby ludzie chodzili do kina, a tym bardziej na „Imago”. Producenci myślą o tym, żeby wskrzesić zespół, który grał w filmie pod przewodnictwem Andrzeja Smolika, który tak jak ja otrzymał nagrodę w Gdyni, tyle że za muzykę. Mam nadzieję, że dystrybutorzy będą otwarci na takie wyzwania.

– Myślę, że Twoja mama byłaby zadowolona. Warto przypomnieć, że śpiewała w wielu trójmiejskich zespołach, m.in. w Pancernych Rowerach i w Aptece.

LUDZIE BARDZO MAŁO WIEDZĄ O TRÓJMIEJSKIEJ SCENIE ALTERNATYWNEJ.

– Tak, tak, zgadza się. Opowiem Ci historię. Byłam na imprezie promującej płytę Andrzeja Smolika i nagle przyszedł Olaf Deriglasoff. Pamiętałam go z czasów, gdy byłam malutkim dzieckiem, miałam chyba trzy lata. Długo go nie widziałam. Moja mama nigdy nie mówiła, że miała jakąkolwiek karierę, natomiast często mówiła o Olafie, o tym, jaki jest wspaniały. Z jej opowieści wynikało, jakby w ogóle się nie znali. Na imprezie Andrzej przedstawił mnie Deriglasoffowi, że jestem córką Eli „Malwiny” i że razem zrobiliśmy o niej film. Olaf się cały zaróżowił. Powiedział mi, kim dla niego była moja mama, kim była dla całej trójmiejskiej sceny lat 80., dla wszystkich artystów, którzy ją znali. Powtórzył to, co mówili inni – kosmiczna matka. Jak opowiedziałam o tym Eli, to się uśmiechnęła i skomentowała krótko: „Oj tam, oj tam”.

BARDZO CHCĘ, ŻEBY LUDZIE CHODZILI DO KINA, A TYM BARDZIEJ NA „IMAGO”.

Lena Góra

sopocianka, Polka, Amerykanka, aktorka, scenarzystka, twórczyni filmów. Wychowała się w środowisku artystycznym. Jej ojciec Sławomir Góra jest malarzem, matka Ela „Malwina” Góra była wokalistką postpunkowych kapel, m.in. „Pancerne Rowery” i „Apteka”, współtworząc trójmiejską scenę alternatywną lat osiemdziesiątych. Kiedy miała 16 lat, wyjechała na stałe do Stanów. Polskiej widowni znana z serialowej superprodukcji Canal+ „Król” w reżyserii Jana P. Matuszyńskiego oraz z głównej roli w produkcji Netflix „Noc w przedszkolu” Rafała Skalskiego. Współautorka scenariusza oraz odtwórczyni głównej roli u boku nominowanego do Oscara Johna Hawkesa w szeroko nagrodzonym filmie „Roving Woman” w reżyserii Michała Chmielewskiego. Producentem wykonawczym filmu był Wim Wenders, a jego światowa premiera odbyła się na festiwalu Tribeca w Nowym Jorku. Lena wystąpiła też w nowym horrorze Bernarda Rose’a, twórcy kultowego „Candymana” u boku m.in. Danny’ego Hustona. W 2023 roku podczas festiwalu w Karlowych Warach premierę miał film „Imago”, w którym Lena zagrała główną rolę i za którego scenariusz została nagrodzona podczas festiwalu w Cannes w 2019 roku. „Imago” otrzymało nagrodę Międzynarodowych Krytyków FIPRESCI za najlepszy film, a krytycy określili postać wykreowaną przez aktorkę jako jedną z najważniejszych postaci kina arthouse’owego od lat (Cineuropa). Lena jest laureatką Złotego Anioła Bella Women dla najlepszej europejskiej aktorki 2023 roku. Reprezentuje ją agencja LBI Entertainment w USA.

Droga do zwycięstwa

W Ożarowie Mazowieckim dzięki Stowarzyszeniu Historycznemu Wirtualne Muzeum Ożarów Mazowiecki można już oglądać wystawę uliczną poświęconą Januszowi Kusocińskiemu, złotemu medaliście w biegu na 10 000 m Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles w 1932 roku, mieszkańcowi Ożarowa. Wernisaż wystawy odbył się 30 stycznia w mieście, z którym związany był wybitny sportowiec.

Barbara Michałowska

Fot. T. Gutry (2)

Wystawa została przygotowana przez Oddziałowe Biuro Edukacji Narodowej IPN w Łodzi. Prezentuje życie i dorobek sportowy Janusza Kusocińskiego, który był jednym z najwybitniejszych lekkoatletów w historii Polski. W 1928 r. trzykrotnie pobił rekord Polski na dystansie 5000 m. Jeszcze przed zdobyciem medalu olimpijskiego udało mu się pobić dwa rekordy świata: 19 czerwca 1932 r. w Antwerpii podczas biegu na 3000 m oraz 30 czerwca w Poznaniu na 4 mile (ok. 6437 m).

Był jednym z najpopularniejszych sportowców Polski międzywojennej.

Po wybuchu II wojny światowej jako ochotnik został przydzielony do pierwszego plutonu kompanii karabinów maszynowych 2. Batalionu 360 Pułku Piechoty. Po przegranej wojnie obronnej wstąpił do konspiracyjnej Organizacji Wojskowej „Wilki" i przyjął pseudonim „Prawdzic". W wyniku denucjacji został aresztowany przez Gestapo 28 marca 1940 r. Początkowo był osadzony w więzieniu mokotowskim, a następnie przy al. Szucha 25. Między 20 a 21 czerwca został przewieziony do Palmir pod Warszawą i tam rozstrzelany.

Rok 2024 został ogłoszony przez Sejm RP Rokiem Polskich Olimpijczyków. Wystawę o życiu i dokonaniach Janusza Kusocińskiego można oglądać przed siedzibą Centrum Inicjatyw Społecznych „Przy Parku" przy ul. Poznańskiej 292.

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **13 LUTEGO** zdarzyło się:

1834 – Adam Mickiewicz zakończył pracę nad „Panem Tadeuszem";

1917 – I wojna światowa: holenderska tancerka Mata Hari została aresztowana przez władze francuskie pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec.

Anna, której miało nie być W ENCYKLOPEDII

Był 4 grudnia 1983 roku. Ludzie zgromadzeni pod krzyżem przy kopalni „Wujek" patrzyli, jak Kazimierz Świtoń, założyciel Wolnych Związków Zawodowych na Śląsku i działacz Solidarności, próbuje zamontować dużą tablicę na kopalnianym murze. Inni zerkali z podziwem na niewielką kobietę, która towarzyszyła Świtoniowi. To była Anna Walentynowicz z Gdańska, której **wyrzucenie z pracy zapoczątkowało strajk** w Stoczni im. Lenina w sierpniu 1980 r.

Sebastian Reńca

Fot. T. Gutry

Nagle pod kopalnię podjechał milicyjny radiowóz, z którego wysiadło dwóch mundurowych i dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu. Podeszli szybkim krokiem pod krzyż. Jeden z nich odezwał się z ironią do Świtonia:

– Proszę przestać! Nie widzicie, że ludzie tu śpiewają pieśni religijne, a wy im kuciem przeszkadzacie?

Czapki nie ma do dziś

Milicjanci zatrzymali mężczyznę, który pomagał Kazimierzowi Świtoniowi. Do założyciela WZZ podeszli „cywile", ale Świtoń zaczął się z nimi szarpać i krzyczeć:

– Za co?! Dlaczego?!

Mężczyzna w czapce z nutrii wyrwał Świtoniowi młotek z dłoni. Anna Walentynowicz odebrała esbekowi młotek i zaczęła walić nim w mur. Funkcjonariusz odpuścił i wdał się w pyskówkę ze zgromadzonymi kobietami. Świtoń wrócił do kucia otworów.

Tamci wsiedli do radiowozu. Ktoś głośno stwierdził, że za chwilę może zrobić się gorąco. I tak się stało. Wkrótce pod kopalnię zajechały dwie milicyjne nysy oraz wołgi i fiaty z esbekami.

Pierwszego złapali Kazimierza Świtonia. Po nim przyszła kolej na Annę Walentynowicz, którą funkcjonariusze zaczęli wlec do milicyjnej „suki".

Któraś z obecnych tam kobiet w kilkusetosobowym tłumie krzyknęła w stronę esbeka:

– Proszę tej pani nie popychać! To jest Anna Walentynowicz! Jej się należy szacunek!

„Przewróciłam się, spadła mi czapka, ale podnoszę się szybko i chwytam tablicę" – wspominała pani Anna w rozmowie z Tomaszem Jastrunem. „Niestety, śruby wystawały od zewnętrznej strony i ubekowi było łatwiej złapać tablicę. Zapieram się nogami, ale było ślisko, i tak ciągną mnie po lodzie. Ubecy zrobili żywy mur i odgrodzili nas od ludzi. Zaciągnęli mnie do samochodu, wyrwali tablicę i ubliżając mi, wrzucili mnie do wozu. Spadła mi czapka, oberwano guziki od płaszcza, zerwano torebkę, upadły okulary. Potem wrzucono do samochodu okulary i zniszczoną torebkę. Czapki nie ma do dziś".

Oczywiście Służba Bezpieczeństwa wiedziała od kilku dni o tym, że Anna Walentynowicz organizuje przewiezienie na Śląsk tablic: „inicjatorzy akcji liczą się z możliwością konfiskaty tablicy w czasie transportu z Gdańska na Śląsk, wykonano dwa identyczne egzemplarze, które zostaną przesłane oddzielnymi kanałami". Informacja pochodziła od tajnego współpracownika o pseudonimie „Skromny".

Nie ma innej drogi

Do dziś nie wiadomo, kto przywiózł z Gdańska na Śląsk tablice, które miały upamiętniać dziewięciu górników zastrzelonych przez pluton specjalny ZOMO podczas pacyfikacji strajku 16 grudnia 1981 r. Nie znamy również autora projektu oraz wykonawcy. Biograf gdańszczanki pisze, że Walentynowicz przez dłuższy czas nie mogła zapłacić im za pracę:

„Chodziła «od Annasza do Kajfasza» i bezskutecznie prosiła o pomoc. Odmówili jej ludzie, którzy współdecydowali o funduszach gdańskiego podziemia" (Sławomir Cenckiewicz). Jedynym człowiekiem, który jej pomógł, był ks. Hilary Jastak, który załatwił sprawę od ręki.

A trzeba było zapłacić za dwie tablice.

40 LAT TEMU ANNA WALENTYNOWICZ BYŁA ARESZTOWANA I CZEKAŁA NA PROCES W KATOWICACH WSPÓLNIE Z KAZIMIERZEM ŚWITONIEM I EWĄ TOMASZEWSKĄ.

Jedną udało się poświęcić i zamontować w kościele pw. Najświętszej Maryi Panny Matki Kościoła w Jastrzębiu-Zdroju. Wiemy, że Anna Walentynowicz brała udział w tej uroczystości – 3 grudnia 1983 r. Druga, ta katowicka, następnego dnia trafiła do magazynu w komendzie milicji. Anonimowy reportażysta napisał w wydanym w podziemiu „Kompleksie Śląskim", że „Tablicę zabrał facet w cywilu, w czerwonych butach. Wrzucił ją do bagażnika samochodu". Dziś można ją zobaczyć zamontowaną na murze pomnika przy kopalni „Wujek".

Pierwszą noc spędzoną w katowickim areszcie Anna Walentynowicz wspominała jako jeden z najsmutniejszych momentów jej życia. Było jej przykro, że tylu ludzi naraziła na represje. W końcu świtało, gdy się uspokoiła. „Spojrzałam w przyszłość naszego kraju i zrozumiałam, że nie ma innej drogi".

Esbecja pod krzyżem

Anna Walentynowicz została przewieziona do aresztu w komendzie MO przy ul. Kilińskiego, trafił tam również Kazimierz Świtoń, a kilka godzin później inna działaczka Solidarności – Ewa Tomaszewska z Warszawy, która również została tego dnia zatrzymana pod kopalnią „Wujek", ale za to, że fotografowała krzyż, „mimo iż na tablicy znajdującej się na bramie wjazdowej do KWK «Wujek» był umieszczony zakaz fotografowania".

Annę Walentynowicz oskarżono nie tylko o zorganizowanie pochodu pod „Wujek" i próbę zamontowania tablicy, ale też o to, że „w celu zmuszenia funkcjonariusza

MO Edmunda Perka do odstąpienia od zatrzymania zakłócającego porządek w miejscu publicznym Kazimierza Świtonia, położyła się na ziemi i obejmując jego nogi, starała się udaremnić prawnie przedsięwziętą interwencję organów porządkowych".

Edmund Perek należał do katowickiej grupy „D" SB, a w latach 80. przewodził nieformalnej grupie specjalnej, która prowadziła działania dezintegracyjne i specjalne przeciwko księżom i opozycji na terenie województwa katowickiego. Jak napisano w raporcie tzw. komisji Rokity: grupa specjalna Perka uniemożliwiła „założenie przy KWK «Wujek» w Katowicach tablicy pamiątkowej z brązu wykonanej w Gdańsku poświęconej poległym górnikom". Ta grupa esbeckich bandytów wielokrotnie rozbijała w latach 1982–1987 manifestacje odbywające się przy katowickiej kopalni „Wujek" z okazji rocznicy zbrodni dokonanej 16 grudnia 1981 r.

Od momentu zatrzymania trójki „przestępców": Walentynowicz, Świtonia i Tomaszewskiej, minęło 48 godzin i z milicyjnego „dołka" przewieziono ich do pobliskiego aresztu śledczego przy ul. Mikołowskiej.

Niepokorna

To nie było pierwsze więzienie, w którym siedziała Anna Walentynowicz. Opozycjonistka z Gdańska nie była pokornym i posłusznym więźniem. Po przeszło dwóch tygodniach otrzymała „laurkę":

„Anna Walentynowicz po aresztowaniu 4.12.1983 r. przebywała w areszcie w Katowicach. Wskutek nagannego zachowania się (lekceważący stosunek do personelu aresztu, nakłania innych do nieposłuszeństwa, instruowanie na temat zachowania się podczas przesłuchań itp.), w dniu 22.12.1983 r. została przewieziona do aresztu śledczego w Lublińcu, woj. częstochowskie", „w śledztwie w ogóle nie zeznaje, a aresztowanie traktuje jako zaszczyt".

„Śledztwo prowadziła prokuratura w Katowicach. Nie chciałam składać zeznań, nie miałam się z czego tłumaczyć. I czułam się bardzo źle. Wieloletnia ciężka praca, przebyte choroby, pobyty w więzieniach, to wszystko odbijało się na stanie mojego zdrowia. Prokuratorzy z całej Polski działali jednak według z góry ustalonego schematu. Osobę aresztowaną z powodów politycznych, nawet jeśli mdleje na przesłuchaniach, należy skierować na badania psychiatryczne. W pierwszych dniach stycznia przewieziono mnie do Lublińca, do zakładu karnego dla osób o odchyleniach psychicznych" – wspominała Anna Walentynowicz.

Właśnie w Lublińcu odbyła się rozmowa opozycjonistki z esbekami majorem Józefem Burakiem i kapitanem Andrzejem Czernysem, których wizyta miała dwa podstawowe cele, dezinformacja o działaniach Solidarności oraz pogłębienie nieufności Anny Walentynowicz wobec Lecha Wałęsy.

Podczas tamtej rozmowy padło słynne zdanie wypowiedziane przez Buraka: „Widzi pani. Wałęsa już jest w encyklopedii, a pani tam nie ma i nigdy nie będzie. Wiedzieliśmy o tym już w 1980 r.".

Proces w Katowicach

W pierwszych dniach kwietnia przed katowickim Sądem Rejonowym odbyła się rozprawa. Oskarżonych było troje przestępców spod „Wujka": Kazimierz Świtoń, Ewa Tomaszewska i Anna Walentynowicz.

Świtoń, który ze względu na stan zdrowia został zwolniony z aresztu w lutym, odpowiadał z wolnej stopy. Gdy wszedł na salę rozpraw, na ławie oskarżonych siedziały już panie Walentynowicz i Tomaszewska. Kazimierz Świtoń podarował im po małym bukieciku kwiatów. To były stokrotki. Następnie zaczął się awanturować, żeby milicjanci wpuścili go na ławę oskarżonych. Doszło do kuriozalnej sytuacji. Mundurowi zaczęli bronić mu dostępu do ławy, krzycząc, że nie ma prawa tam siedzieć. Na co założyciel Wolnych Związków Zawodowych na Śląsku również reagował krzykiem, że to właśnie on jest oskarżony. W końcu udało mu się usiąść obok współoskarżonych.

Większość publiczności zgromadzonej na sali rozpraw składała się z esbeków, którzy ostentacyjnie zachowywali się chamsko. Gdy na salę rozpraw w katowickim sądzie weszła leciwa już aktorka Irena Byrska, znana m.in. z filmu „Człowiek z żela-

SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA WIEDZIAŁA OD KILKU DNI O TYM, ŻE ANNA WALENTYNOWICZ ORGANIZUJE PRZEWIEZIENIE NA ŚLĄSK TABLIC POŚWIĘCONYCH GÓRNIKOM Z „WUJKA".

za" Andrzeja Wajdy, nie było dla niej siedzącego miejsca na ławach.

Dopiero sędzia zwrócił zebranym na sali zgromadzonym mężczyznom uwagę, żeby ktoś ustąpił miejsca kobiecie, na co jeden z esbeków robiących za „publiczność" wrzasnął, że „stare baby" powinny siedzieć w domu, a nie chodzić po sądach.

WIĘKSZOŚĆ PUBLICZNOŚCI ZGROMADZONEJ NA SALI ROZPRAW W KATOWICKIM SĄDZIE SKŁADAŁA SIĘ Z FUNKCJONARIUSZY SB.

Ostatecznie cała trójka „przestępców" została zwolniona z aresztu ze względu na stan zdrowia, a w lipcu ich sprawa została umorzona na mocy amnestii.

6 kwietnia 1984 r. Anna Walentynowicz została zwolniona z aresztu śledczego w Lublińcu, a mecenas Jerzy Kurcyusz przywiózł ją do Katowic, gdzie zatrzymała się u Teresy Baranowskiej, działaczki Solidarności, KPN i Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Tam czekali na nią m.in. syn Janusz, Kazimierz Świtoń, Ewa Tomaszewska, Joanna Duda-Gwiazda, mecenas Jacek Taylor, Irena Byrska...

Żeby wszystkich poczęstować obiadem, Teresa Baranowska pożyczyła od sąsiadki duży garnek, a pani Byrska gotowała w nim krupnik. Mecenas Taylor, wspominając tamten obiad, mówił, że to była... uczta.

W tym samym roku, w październiku, Anna Walentynowicz była jednym z gości na Dniach Kultury Chrześcijańskiej w Bytomiu. Był tam również ks. Jerzy Popiełuszko, który wkrótce został brutalnie zamordowany przez funkcjonariuszy bezpieki.

Na spotkaniu w salce katechetycznej kościoła pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego gdańszczanka mówiła m.in.:

„Tablica miała nas bardziej zjednoczyć i pocieszać. My dzisiaj powinniśmy spotykać się, powinniśmy bywać u siebie, by «tydzień kultury», jak pięknie powiedział kapłan w dzisiejszej homilii, trwał przez cały czas. Powinniśmy bywać u siebie na Mszach za Ojczyznę, które są organizowane w tej chwili we wszystkich miastach, we wszystkich parafiach. I powinniśmy przyjeżdżać do siebie, nocować, porozmawiać, zaprzyjaźnić się, ze sobą bywać. Jedyna dobra rzecz z tej wojny, jaką wydał generał Jaruzelski narodowi polskiemu, to było internowanie. Mogliśmy się zaprzyjaźnić [...], nie będą nas skłócać".

„...aby został trwały ślad"

W sierpniu 1983 r. Anna Walentynowicz wzięła udział w pielgrzymce kobiet do sanktuarium Matki Boskiej Piekarskiej. Wówczas przyszła pod katowicką kopalnię „Wujek", by pomodlić się przy stojącym tam drewnianym krzyżu za górników zastrzelonych w stanie wojennym.

„Wtedy postanowiłam, że miejsce to musi mieć przynajmniej pamiątkową tablicę. My w Gdańsku mamy pomnik, więc tu niech będzie na razie chociaż tablica, aby został trwały ślad i nie zginęła pamięć".

Tak narodził się pomysł tablicy, której nie udało się zamontować na kopalnianym murze. W rocznicę tamtego wydarzenia, 4 grudnia 1987 r., Anna Walentynowicz znów była w Piekarach Śląskich. W tamtejszej siedzibie Caritasu spotkała się z ludźmi. Opowiadała m.in. o jednym z dziewięciu górników z „Wujka" i jego mamie Janinie.

„Chciałam powiedzieć dwa słowa o tym pierwszym górniku, Janku Stawisińskim. [...] Matce do dzisiaj udało się przechować jego przestrzelony hełm. Żył bardzo długo, nie odzyskawszy przytomności. Matka zwolniła się z pracy w Koszalinie, pojechała do Katowic i zatrudniła się jako salowa, żeby czuwać przy synu. Kiedy odzyska przytomność, może będzie jej potrzebować. Nie odzyskał przytomności. Pochowany w Koszalinie. Ludziom nawet się nie kojarzy, gdzie górnik, gdzie kopalnia, gdzie Koszalin. Ale niestety, kiedy społeczeństwo ufundowało pomnik na cmentarzu, jeszcze nie dostarczony, SB aresztowało ludzi znad grobu. Została matka sama. I wtedy inni «cichociemni» rzucili się na wieńce, bo była szarfa «Solidarności Robotniczej – Jankowi». Obcinali te szarfy. Matka broniła, więc pocięto jej ręce żyletką. Ta matka została sama".

„WTEDY POSTANOWIŁAM, ŻE MIEJSCE TO MUSI MIEĆ PRZYNAJMNIEJ PAMIĄTKOWĄ TABLICĘ. MY W GDAŃSKU MAMY POMNIK, WIĘC TU NIECH BĘDZIE NA RAZIE CHOCIAŻ TABLICA...".

„My nigdy nie poddamy się”

„Przyjmuję Cię w szeregi Armii Polskiej, walczącej z wrogiem w konspiracji o **wyzwolenie Ojczyzny**. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią” – te słowa wypowiadał przyjmujący przysięgę żołnierza Armii Krajowej.

Agnieszka Żurek

Armia Krajowa (inaczej: Siły Zbrojne w Kraju) powstała z przemianowania Związku Walki Zbrojnej (utworzonego w listopadzie 1939 roku) rozkazem Naczelnego Wodza generała broni Władysława Sikorskiego z 14 lutego 1942 r.

Etos trwający przez pokolenia

AK działała na terenie okupowanej Rzeczypospolitej, a jej największym wysiłkiem zbrojnym była akcja „Burza" i Powstanie Warszawskie. Celem, jakim stawiali sobie akowcy, było wywołanie powszechnego powstania na terenie całego kraju i jego pełne wyzwolenie. Nie doszło do tego w wyniku zastąpienia okupacji niemieckiej niewolą sowiecką, jednak liczni byli akowcy kontynuowali walkę z nowym okupantem po roku 1945 w innych organizacjach niepodległościowych. Ostatni z nich, Józef Franczak ps. „Lalek", poległ w 1963 roku. Etos Armii Krajowej i Żołnierzy Wyklętych przetrwał przez pokolenia i stał się osią ideową podziemnej Solidarności.

Żołnierze AK podczas akcji „Burza" w Lublinie, lipiec 1944 r.

Fot. Wikimedia Commons

Komenda Główna Armii Krajowej składała się z oddziałów: Organizacyjnego, Informacyjno-Wywiadowczego, Operacyjno-Szkoleniowego, Kwatermistrzowskiego, Dowodzenia i Łączności, Biura Informacji i Propagandy, Finansów i Kontroli oraz Szefostwa Biur Wojskowych. Współpracowali z nią także księża katoliccy, w tym m.in. Stefan Wyszyński, ps. Radwan III, kapelan grupy „Kampinos" w okresie Powstania Warszawskiego, późniejszy Prymas Polski.

„Zanim kraj upadł, polskie władze położyły fundament pod rozległą organizację zbrojnego oporu. W kraju pozostało dziewięciuset Polaków wyszkolonych w walce partyzanckiej, a w trzystu podziemnych schronach w całym kraju zmagazynowano materiały wybuchowe, granaty, karabiny i pistolety. Polska spośród wszystkich okupowanych krajów najbardziej odrzuciła kolaborację. Jej Armia Krajowa (od 14 lutego 1942 roku, wcześniej od listopada 1939 – Związek Walki Zbrojnej) – największy, najbardziej zaawansowany i najlepiej zorganizowany ruch oporu w całej Europie – nie pozostawiła żadnej wątpliwości, że oczekuje od Polaków, że przeciwstawią się Niemcom w każdy możliwy sposób – poczynając od odmawiania współpracy, a kończąc na dywersji i sabotażu" – pisze amerykańska dziennikarka i historyk Lynne Olson w publikacji pt. „Wyspa ostatniej nadziei. Anglicy, Polacy i inni".

„Dowodzę [...] dwiema armiami. Jedna składa się z Polskich Sił Zbrojnych w Zjednoczonym Królestwie i Afryce wraz z Polskim Lotnictwem i Marynarką Wojenną. Druga zaś, ilościowo znacznie silniejsza, jest to Polska Tajna Organizacja Wojskowa rozrzucona po całym obszarze terytorialnym Rzeczypospolitej. [...] Organizacja jej jest niemal analogiczna z organizacją Polskich Sił Zbrojnych walczących po stronie zjednoczonych Narodów. Różni się ona zasadniczo jedynie tym, że jest ona organizacją tajną, podziemną, niedostatecznie uzbrojoną" – mówił o Armii Krajowej grudniu 1942 roku Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski w rozmowie z gen. Hayesem Kronerem ze Sztabu Generalnego USA.

„SIWE WŁOSY, WYBITE ZĘBY, POŁAMANE RĘCE, NOS I ŻEBRA. ZERWANE PAZNOKCIE. – MY NIGDY NIE PODDAMY SIĘ! – KRZYKNĄŁ, PRZEKAZUJĄC PRZEZ WSPÓŁWIĘŹNIÓW SWE OSTATNIE POSŁANIE".

EWA KUREK, „ZAPORCZYCY"

Wybitni dowódcy

Mimo braków uzbrojenia, konspiracji i niezwykle trudnych warunków działania Armia Krajowa w szczytowym okresie liczyła nawet ok. 380 tys. żołnierzy. Wielu z nich było ludźmi wybitnymi, świetnie wyszkolonymi, ideowymi, posiadającymi ogromny autorytet wśród podkomendnych. Do takich osób należał niewątpliwie major Hieronim Dekutowski ps. „Zapora", żołnierz AK, który dochował wierności rocie akowskiej przysięgi

także w okresie drugiej okupacji. Został zamordowany przez komunistycznych oprawców w więzieniu na Rakowieckiej, a jego ciało ekshumowano z warszawskiej „Łączki". „Zyskał opinię wybitnego dowódcy. Cechowała go odwaga, szybkość decyzji, a jednocześnie ostrożność i ogromne poczucie odpowiedzialności za ludzi. Znakomicie wyszkolony w posługiwaniu się bronią ręczną i maszynową, niepozorny, ale obdarzony wielkim czarem osobistym umiał być wymagający i utrzymywał żelazną dyscyplinę w podległych mu oddziałach, co w połączeniu z umiarem i troską o każdego żołnierza zapewniało mu u podkomendnych ogromny mir. Nazywali go «Starym», choć nie miał jeszcze trzydziestu lat" – pisał o „Zaporze" jego przełożony Władysław Siła-Nowicki. O okresie powojennym jego działalności dodawał: „Około dwustu-dwustu pięćdziesięciu ludzi o wysokim poziomie ideowym, dobrze uzbrojonych i wyszkolonych, utrzymywanych w dyscyplinie «trzęsło» połową województwa. Stan ten przypominał pewne okresy powstania styczniowego, gdy władza państwowa ustabilizowana była jedynie w dużych ośrodkach, zaś w terenie istniała tylko iluzorycznie. Oczywiście partyzantka opierała się na pomocy miejscowej ludności ogromnej większości wsi, udzielającej ofiarnie poparcia, kwater i informacji".

Komuniści nienawidzili go i kiedy dostali go w swoje ręce, okrutnie się nad nim znęcali. „Miał trzydzieści lat, pięć miesięcy i 11 dni. Wyglądał jak starzec. Siwe włosy, wybite zęby, połamane ręce, nos i żebra. Zerwane paznokcie. – My nigdy nie poddamy się! – krzyknął, przekazując przez współwięźniów swe ostatnie posłanie" – pisała o nim historyk Ewa Kurek w książce „Zaporczycy". Żołnierzom Armii Krajowej, którzy po 1945 roku zdecydowali się nie składać broni, towarzyszył niepokój, czy ich ofiara nie pójdzie na marne i czy zostanie właściwie zrozumiana. „«Zapora» zawsze zastanawiał się, czy ktoś będzie o nas pamiętał, czy ktoś będzie pamiętał o tym, że walczyliśmy o Polskę i nie byliśmy bandytami..." – wspominała Barbara Nagnajewicz-Woś ps. „Krysia", sanitariuszka Hieronima Dekutowskiego.

Innym wybitnym oficerem Armii Krajowej był rotmistrz Witold Pilecki, podobnie jak „Zapora" zamordowany przez komunistów w więzieniu na Rakowieckiej. Również on został przez swoich podkomendnych zapamiętany jako wybitny, godny zaufania dowódca o wrażliwym sercu. „Rotmistrz Witold Pilecki był bardzo dobrym dowódcą i bardzo dobrym człowiekiem. Był bardzo koleżeński, uśmiechnięty. Robił wszystko, żeby żaden z nas nie poległ" – wspominał w rozmowie z PAP kpt. Janusz Walendzik ps. „Czarny", podkomendny rtm. Witolda Pileckiego podczas Powstania Warszawskiego.

„NIECH SIĘ TROCHĘ ZASTANOWIĄ GŁĘBIEJ NAD ŻYCIEM WŁASNYM, NIECH SIĘ ROZEJRZĄ PO LUDZIACH I ZACZNĄ WALKĘ OD SIEBIE, ZE ZWYKŁYM FAŁSZEM, ZAKŁAMANIEM, INTERESEM PODRASOWANYM SPRYTNIE POD IDEE, PRAWDĘ, A NAWET WIELKĄ SPRAWĘ".
RTM. WITOLD PILECKI

„Powszechne jakieś krętactwo"

Najbardziej spektakularnym wyczynem rotmistrza Pileckiego było jego dobrowolne pozwolenie na schwytanie przez Niemców w ulicznej łapance, aby w ten sposób dostać się do obozu koncentracyjnego Auschwitz i opisać, co się tam dzieje, a także stworzyć w obozie ruch oporu, a następnie uciec stamtąd i poinformować o wszystkim Zachód. Lektura jego wspomnień z obozu jest wstrząsająca. Niezwykle aktualnie brzmi opis jego odczuć, z którymi zmagał się, obserwując rzeczywistość już po swojej ucieczce. W „Raporcie Witolda" czytamy: „Teraz chciałem jeszcze powiedzieć, co czułem w ogóle wśród ludzi, gdy się znowu pomiędzy nimi znalazłem, wracając z miejsca, o którym naprawdę można powiedzieć: kto wszedł, ten – umarł, kto wyszedł, ten – się narodził na nowo. Jakie wrażenie odniosłem nie wśród tych najlepszych, lub – najgorszych, lecz w ogóle w całej masie ludzkiej, po powrocie do życia na ziemi. Czasami wydawało mi się, że chodząc po wielkim domu, otworzyłem nagle drzwi do jakiegoś pokoju – gdzie są same – dzieci... «aaa! dzieci się bawią...». Tak – był przeskok zbyt wielki w tym, co dla nas było ważnym, a co za ważne uważają ludzie, czym się kłopoczą, cieszą i martwią. Lecz to by było jeszcze nie wszystko... Zbyt widocznym stało się teraz powszechne jakieś krętactwo. Biła wyraźnie w oczy jakaś praca niszcząca nad zatarciem granicy pomiędzy prawdą a fałszem. Prawda stała się tak rozciągliwa, że naciągano ją, przysłaniając wszystko, co ukryć było wygodniej. Skrzętnie zatarto granicę pomiędzy uczciwością a zwykłym krętactwem. Nie to jest ważne – co napisałem dotychczas na tych stronach kilkudziesięciu, szczególnie dla tych, co czytać je będą li tylko jako sensację, lecz tutaj chciałbym pisać tak wielkimi literami, jakich nie ma niestety w maszynowym piśmie, żeby te wszystkie głowy, co pod pięknym przedziałkiem mają wewnątrz przysłowiową wodę i matkom chyba tylko mogą dziękować za dobrze sklepione czaszki, że owa woda im z głów nie wycieka – niech się trochę zastanowią głębiej nad życiem własnym, niech się rozejrzą po ludziach i zaczną walkę od siebie, ze zwykłym fałszem, zakłamaniem, interesem podrasowanym sprytnie pod idee, prawdę, a nawet wielką sprawę".

Praca staje się bezpieczniejsza

Tematem najnowszej audycji „Głos pracownika” Radia Gdańsk były wypadki przy pracy, których statystycznie z roku na rok jest **coraz mniej**. Skala problemu nadal pozostaje jednak znacząca i nie należy jej banalizować, na co wskazywał Paweł Grabowski, zastępca gdańskiego okręgowego inspektora pracy.

Widzimy corocznie tendencję spadkową, jeśli chodzi o liczbę wypadków przy pracy. Chodzi zarówno o liczbę osób, które ulegają takim wypadkom, jak też o same wypadki śmiertelne i ciężkie. W roku 2022 w Polsce wypadkom przy pracy uległo 66,6 tys. pracowników, nie wliczając w to rolnictwa indywidualnego. To jest duży problem społeczny. W tym samym roku w Polsce wypadkom śmiertelnym uległo 180 osób, a wypadkom ciężkim 365 osób. Dla porównania w 2020 roku na terenie UE wypadkom śmiertelnym uległo 3,3 tys. pracowników, a wypadków przy pracy było łącznie 2,7 mln. W Polsce w 2020 roku wypadki śmiertelne to 5,7 proc. wszystkich tych, do których doszło w tym okresie w całej Unii – wskazywał zastępca okręgowego inspektora pracy w Gdańsku.

Dodał przy tym, że aż co piąty wypadek śmiertelny ma miejsce w sektorze budownictwa.

Poinformował również, że w ubiegłym roku na terenie województwa pomorskiego zgłoszono 49 wypadków śmiertelnych, ale nie każdy z nich może być zakwalifikowany jako wypadek przy pracy.

– Aby mówić, że zdarzenie jest wypadkiem przy pracy, muszą zaistnieć cztery elementy: musi być to zdarzenie nagłe, musi być przyczyna zewnętrzna, musi mieć związek z pracą i musi powstać uraz lub śmierć. Jeżeli któryś z tych elementów nie zajdzie, to nie mówimy o wypadku przy pracy – wyjaśniał Grabowski i zapowiedział, że sprawozdanie z kontroli przeprowadzonych na terenie województwa pomorskiego w ubiegłym roku ukaże się pod koniec lutego.

> Aż co piąty wypadek śmiertelny ma miejsce **w sektorze budownictwa**.

W drugiej części audycji twórczyni Gorilla Job Agnieszka Śladkowska mówiła o wzmacnianiu pewności siebie u pracowników. Jako pomocne w tym procesie wymieniła na przykład postawienie przed pracownikiem celów, które może on z sukcesem zrealizować.

– Nie chodzi o to, żeby były one niskie, mało ambitne i nie były dla pracownika wyzwaniem. Chodzi o to, żeby te cele miały jasny moment realizacji. Jeśli tym celem jest pozyskanie klientów, to niech to będzie konkretna wartość, na przykład pozyskanie pięciu klientów miesięcznie. Kiedy nasz pracownik ich pozyska, to poczuje satysfakcje, że zrealizował cel – wskazywała Śladkowska ,dodając, że wówczas pracownik może otrzymać też od przełożonego pochwałę.

– To samo zauważenie przez pracodawcę sprawia, że pracownik czuje się ważny dla organizacji i zaczyna się budować jego pewność siebie – zwróciła uwagę.

M.K.

AUDYCJA „GŁOS PRACOWNIKA”

Radio Gdańsk

Chcesz wiedzieć, jakie masz prawa i obowiązki jako pracownik? Jak negocjować z pracodawcą? Jakie są tendencje na rynku pracy? Gdzie łamane są prawa pracownicze? I co wtedy zrobić? To tylko część tematów, którymi zajmują się reporterzy Radia Gdańsk. Audycja „Głos pracownika” w każdy **poniedziałek o godz. 14.20** na antenie Radia Gdańsk, a także na stronie www.radiogdansk.pl.

Audycja „Głos pracownika” powstaje we współpracy z „Tygodnikiem Solidarność”.

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Upamiętniono 42. rocznicę ŚWIDNICKICH SPACERÓW

Fot. www.swidnik.pl

Związkowcy z Solidarności, przedstawiciele władz wojewódzkich, samorządowych, instytucji, stowarzyszeń i lokalnych organizacji, a także osoby represjonowane w stanie wojennym i mieszkańcy Świdnika 6 lutego wzięli udział w uroczystościach upamiętniających 42. rocznicę Świdnickich Spacerów.

Przemarsze ulicami Świdnika w czasie trwania „Dziennika Telewizyjnego” rozpoczęły się w lutym 1982 roku, kiedy w Polsce trwał stan wojenny. Była to forma protestu przeciwko propagandzie komunistycznej sączonej z odbiorników telewizyjnych. Pomysłodawcą spacerów był prawdopodobnie przewodniczący koła emerytów NSZZ „S” Jan Kazimierczak. Inicjatywa szybko stała się popularna wśród mieszkańców tego miasta. Reżimowe media bojkotowało w ten sposób nawet parę tysięcy osób. Nie spodobało się to władzom PRL, które wkrótce zaczęły legitymować, a nawet zatrzymywać uczestników spacerów na 48 godzin.

Uroczystości upamiętniające te wydarzenia rozpoczęły się od Mszy Świętej w świdnickim kościele pw. Najświętszej Maryi Panny Matki Kościoła. Następnie na miejskim placu, gdzie znajduje się kamień upamiętniający pokojowy protest świdniczan, wspólnie odśpiewano „Mazurka Dąbrowskiego”, wygłoszono przemówienia i złożono kwiaty oraz zapalono znicze. Później odbył się koncert Jana Kondraka i symbolicznie – tak jak 42 lata temu – przemaszerowano ulicą Niepodległości, wzdłuż której ustawione były telewizory.

W ramach uroczystości odbyło się jeszcze kilka inicjatyw: w miejskiej bibliotece ks. Wojciech Zasada odczytał wiersz poświęcony tamtym wydarzeniom, wyświetlono projekcje reportażu pt. „Fenomen Spacerów”, a w holu kina Lot zaprezentowano wystawę przygotowaną przez lubelski IPN. S

BĘDZIE POMOC PUBLICZNA DLA GÓRNIKÓW

5 lutego Komisja Europejska zatwierdziła polski program pomocy państwowej dla pracowników sektora elektroenergetycznego i górnictwa węgla brunatnego. Ma on obowiązywać do lutego 2034 roku, a po upływie 10-letniego okresu Polska może zwrócić się o jego wydłużenie. Program o wartości 300 mln euro bazuje na polskiej ustawie z sierpnia 2023 roku. Jego celem jest osłona socjalna pracowników, którzy utracą zatrudnienie na skutek zamykania elektrowni węglowych i kopalni węgla brunatnego. Pakiet socjalny przewiduje jednorazową odprawę pieniężną w wysokości 12-krotności miesięcznego wynagrodzenia czy 4-letnie płatne urlopy przedemerytalne.

– Obecna ustawa będzie obowiązywała do 2034 roku. To cieszy w kontekście pracowników części wygaszanych już dziś bloków, zlikwidowanej niedawno KWB „Adamów” i mającej niebawem przestać funkcjonować PAK KWB „Konin”. Mam nadzieję, że po 2034 roku rząd, jakikolwiek wówczas by nie był, postara się o to, aby ustawa obowiązywała nadal i objęła pracowników kolejnych likwidowanych kopalni – skomentował Wojciech Ilnicki, przewodniczący Krajowej Sekcji Górnictwa Węgla Brunatnego NSZZ „S”.

– Wciąż mamy nadzieję na to, że także umowa społeczna, wypracowywana przez dwa lata w dobrej wierze w interesie pracowników sektora węgla brunatnego, wejdzie w życie – dodał.

Fot. M. Zegliński

„Świat uznał nasz protest za happening. Dla nas był to jednak wysiłek i wielkie ryzyko, grożące nawet utratą życia”.

Marian Król,
przewodniczący Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”,
w czasie uroczystości rocznicowych Świdnickich Spacerów, portal swidnik.pl, 6 lutego br.

NA PAMIĄTKĘ PIELGRZYMKI DO MEDJUGORJA

W Chocimiu odsłonięto kapliczkę z figurą Matki Bożej z Medjugorja na pamiątkę ubiegłorocznej pielgrzymki, w której uczestniczyli pracownicy Stadniny Koni Prudnik.

Podczas uroczystości, które odbyły się 3 lutego, gwardian klasztoru franciszkanów w Prudniku-Lesie o. Dawid Zmuda dokonał poświęcenia kapliczki w obecności pracowników stadniny, a także: burmistrza Prudnika Grzegorza Zawiślaka, starosty prudnickiego Radosława Roszkowskiego, prezesa Stadniny Koni Prudnik Józefa Stępkowskiego i przewodniczącego Zarządu Regionu Śląska Opolskiego NSZZ „Solidarność” Dariusza Brzęczka, któremu towarzyszyły związkowe poczty sztandarowe z Prudnika, Głuchołazów i Opola.

– Związek zawodowy Solidarność powstał po protestach robotniczych na mocy porozumienia z 31 sierpnia 1980 r. Treści, które wiele lat temu zostały wpisane do statutu, to wartości chrześcijańskie i społeczna nauka Kościoła, która miała przyświecać naszej działalności. Ten statut, ta preambuła, dziś zapisują się bardzo mocno w tę uroczystość, którą dzisiaj przeżywamy – mówił w czasie uroczystości przewodniczący Brzęczek.

Figurę Matki Bożej kupił w Medjugorju Antoni Zadrożny, prokurent prudnickiej Stadniny Koni, w której niemal sto procent pracowników należy do NSZZ „Solidarność”.

Po uroczystościach uczestnicy wydarzenia udali się na wspólny poczęstunek przy ognisku.

MEDAL DLA ZWIĄZKOWCA

W siedzibie Oddziału Włocławek NSZZ „Solidarność” doszło do okolicznościowego spotkania wiceprzewodniczącego ZR Janusza Dębczyńskiego ze związkowcami z KM Państwowej Straży Pożarnej we Włocławku – Łukaszem Zefertem i Michałem Bartoszyńskim, który jest mistrzem Polski w pływaniu w wodzie o temperaturze dwóch stopni Celsjusza na dystansie 100 m stylem dowolnym.

Michał Bartoszyński na zawodach Gdynia Winter Swimming CUP rozgrywanych 27–28 stycznia br. zdobył dodatkowo srebrny medal w sztafecie 4×25 m w stylu dowolnym.

Ponadto w lutym 2023 r. podczas mistrzostw Polski w pływaniu zimowym Ice Cup Poland w Ełku związkowiec zdobył dwa brązowe medale na dystansie 50 m stylem motylkowym i dowolnym.

– W imieniu ZR Toruńsko-Włocławskiego NSZZ „S” Janusz Dębczyński wręczył mistrzowi pamiątkowy medal 40-lecia powstania NSZZ „Solidarność” za wybitne osiągnięcia sportowe i propagowanie Solidarności. Gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów naszemu dzielnemu koledze – przekazali związkowcy.

MANIFESTACJA PRZED RADIEM ZACHÓD

2 lutego z inicjatywy zielonogórskiej Solidarności kilkaset osób protestowało przed siedzibą Radia Zachód. Powodem manifestacji były zwolnienia pracowników należących do Solidarności, a także łamanie prawa przez „koalicję 13 grudnia”.

Wypowiedzenia z pracy otrzymali dziennikarze, a zarazem członkowie Związku – przewodniczący zakładowej „S” Łukasz Brodzik, członek KZ Marek Poniedziałek oraz Adam Ruszczyński.

– Proces likwidacji i postawione zarzuty w uzasadnieniu do wypowiedzenia umowy o pracę w naszej ocenie wykorzystywane są do zwykłej czystki personalnej – ocenił przewodniczący zielonogórskiej Solidarności Bogusław Motowidełko.

W demonstracji brali udział mieszkańcy Zielonej Góry, Żar, Żagania, Nowej Soli, Sulechowa, Świebodzina, Nowego Tomyśla, Czerwieńska i Gorzowa, a także przedstawiciele Solidarności z regionów Jeleniogórskiego, Gorzowskiego, Wielkopolskiego czy Podbeskidzia. W czasie protestu skandowano takie hasła jak „Wolne media!”, „Tu jest Polska!”, „Ruda wrona, orła nie pokona!” i oczywiście „Solidarność!”. Nie zabrakło również wspólnego odśpiewania hymnu narodowego.

M.K.

Kalendarium Solidarności

16.02.1981 – w Ministerstwie Obrony Narodowej rozpoczynają się prace nad planem wprowadzenia stanu wojennego.

Najwyższy czas na emerytury stażowe

W czwartek, 8 lutego, odbyło się w Sejmie powtórne pierwsze czytanie obywatelskiego projektu ustawy o zmianie ustawy o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych oraz o zmianie niektórych ustaw. Obywatelski projekt w tej sprawie trzy lata temu **opracowała Solidarność**. Inicjatorzy wprowadzenia do systemu emerytalnego tego rozwiązania liczą na to, że emerytury stażowe doczekają się wreszcie rzetelnej dyskusji w komisji sejmowej. A potem wdrożenia ich w życie. W końcu.

Barbara Michałowska, współpraca **Monika Rutke**

Prof. Marcin Zieleniecki

Fot. M. Żegliński (2)

Obywatelski projekt dotyczący emerytur stażowych opracowany przez Solidarność zakłada wprowadzenie do polskiego systemu prawnego emerytury przysługującej osobom urodzonym po 31 grudnia 1948 roku, które osiągnęły okres składkowy i nieskładkowy wynoszący 35 lat dla kobiet i 40 lat dla mężczyzn.

Rozwiązanie zgodne z oczekiwaniami społecznymi

Projekt ustawy przewiduje wprowadzenie do polskiego systemu emerytalnego, zarówno powszechnego, jak i rolniczego, emerytury przysługującej wyłącznie z tytułu osiągniętego okresu ubezpieczenia zwanej emeryturą stażową. „Jest to rozwiązanie zgodne z oczekiwaniami społecznymi osób, które ze względu na utratę sił będącą konsekwencją długiego okresu wykonywania pracy zarobkowej nie są w stanie kontynuować jej wykonywania aż do momentu osiągnięcia wieku emerytalnego" – napisano w uzasadnieniu projektu.

„Emerytura stażowa przysługiwałaby pod warunkiem, że jej wysokość ustalona przy zastosowaniu tzw. formuły zdefiniowanej składki nie jest niższa od kwoty najniższego świadczenia emerytalnego [...]. Ponieważ wysokość emerytury obliczonej według tej formuły zależy zwłaszcza od takich czynników, jak wartość składek na ubezpieczenie emerytalne wpłaconych w okresie aktywności zawodowej ubezpieczonego oraz średnie dalsze trwanie życia osób w wieku osoby przechodzącej na emeryturę – prawo do emerytury stażowej przysługiwałoby ubezpieczonym, którzy legitymują się długim okresem składkowym i nieskładkowym pod warunkiem opłacania za nich składki na ubezpieczenie emerytalne od odpowiednio wysokiej podstawy wymiaru" – napisano w uzasadnieniu do projektu.

Według projektu ubezpieczony miałby prawo do dokonania wyboru momentu zakończenia pracy zarobkowej. Aby zwiększyć swoją emeryturę, ubezpieczony legitymujący się dobrym stanem zdrowia mógłby kontynuować pracę zarobkową również po osiągnięciu wymaganego stażu ubezpieczeniowego.

> WEDŁUG PROJEKTU USTAWY UBEZPIECZONY MIAŁBY PRAWO DO DOKONANIA WYBORU MOMENTU ZAKOŃCZENIA PRACY ZAROBKOWEJ.

Jednocześnie autorzy projektu podkreślają, że uzależnienie prawa do emerytury stażowej od spełnienia warunku przysługiwania emerytury w kwocie nie niższej od najniższego świadczenia emerytalnego prowadzić będzie do istotnego ograniczenia kosztów wprowadzenia tego rozwiązania.

14. postulat

O emerytury stażowe Solidarność walczy już od niemal 44 lat. W 1980 roku to rozwiązanie było treścią 14. Postulatu Sierpniowego. Związek nigdy o emeryturach stażowych nie zapomniał. W 2015 i 2020 roku stażówki były wpisywane w umowy programowe, które Solidarność podpisywała z kandydatem na prezydenta Andrzejem Dudą. Wreszcie, gdy w 2021 roku Związek nie mógł doczekać się inicjatywy w tej sprawie ze strony władz, sam opracował projekt, zebrał pod nim 235 tys. podpisów. We wrześniu 2021 roku w ramach obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej projekt został złożony w Sejmie, a w grudniu tego roku odbyło się jego pierwsze czytanie (wówczas sprawozdawcą z ramienia Solidarności był prof. Marcin Zieleniecki). Potem jednak utknął w sejmowej komisji. Projekt po końcu poprzedniej kadencji nie uległ dyskontynuacji i wobec tego mógł zostać ponownie skierowany do czytania. Sprawozdawcą projektu powtórnie był prof. Marcin Zieleniecki. – Dzisiaj ten postulat długo oczekiwany przez polskich pracowników i związkowców mam nadzieję, że zostanie wreszcie spełniony – mówił pod koniec stycznia Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność".

„Mam nadzieję, że wejdą w życie jeszcze w tym roku"

> JUŻ PRZED CZYTANIEM POPARCIE DLA PROJEKTU WYRAZILI PRZEDSTAWICIELE M.IN. PiS-u I LEWICY.

Już przed czytaniem poparcie dla projektu wyrazili przedstawiciele m.in. PiS-u i Lewicy. – Będziemy w czwartek głosować za skierowaniem projektu obywatelskiego do komisji – powiedziała nam Anna Maria Żukowska, przewodnicząca Koalicyjnego Klubu Parlamentarnego Lewicy.

– To jest oczywiste, że nawet gdyby były jakieś nieścisłości, które wymagałyby dalszych prac, to

Emerytura a staż pracy

PROF. MARCIN ZIELENIECKI, EKSPERT NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”, UNIWERSYTET GDAŃSKI:

Mamy w naszym kraju sporą grupę osób, które rozpoczynały swoje kariery zawodowe w bardzo młodym wieku, jeszcze przed reformą emerytalną z 1999 r., a nawet przed transformacją ustrojową z 1989 r. Bardzo często przez całe życie wykonywały tę samą ciężką pracę. Nie zostały objęte prawem do emerytury pomostowej. Nie podlegają zaopatrzeniu emerytalnemu funkcjonariuszy służb mundurowych. Nie kwalifikują się do otrzymania renty z tytułu niezdolności do pracy. Ale mają już osiągnięty godny podziwu staż ubezpieczeniowy i są spracowane do tego stopnia, że organizm odmawia im posłuszeństwa. Skoro mają za sobą 35 lat (kobiety) lub 40 lat (mężczyźni) składkowych i nieskładkowych i nie mogą dalej pracować i chcą przejść na emeryturę jeszcze przed osiągnięciem 60. roku życia (kobiety) i 65. roku życia (mężczyźni), to dlaczego odmawiać im tego prawa?

Pomiędzy projektem obywatelskim złożonym przez Solidarność a projektem Lewicy nie ma żadnych różnic, jeżeli chodzi o przesłanki nabycia prawa do emerytury stażowej. Różnice dotyczą jedynie kwestii technicznych związanych z mechanizmem ustalania wysokości emerytury stażowej oraz pośrednio także sposobu jej finansowania. Projekt obywatelski zakłada, że wysokość emerytury stażowej byłaby ustalana z uwzględnieniem środków zgromadzonych w OFE, przekazanych do FUS w ramach tzw. suwaka bezpieczeństwa i zapisanych na subkontach ubezpieczonych w ZUS. Projekt Lewicy zakłada, że środki te byłyby uwzględniane w podstawie wymiaru emerytury stażowej poprzez zastosowanie specjalnego wskaźnika korygującego 19,52 podzielone przez 12,22, a ubezpieczony musiałby przekazać środki zgromadzone w OFE na dochody budżetu państwa.

> Pomiędzy projektem obywatelskim złożonym przez Solidarność a projektem Lewicy **nie ma żadnych różnic**, jeżeli chodzi o przesłanki nabycia prawa do emerytury stażowej.

Rozmawiał Marcin Krzeszowiec

i tak głosowalibyśmy za skierowaniem do dalszych prac. To nie ulega wątpliwości – dodała w rozmowie z Tysol.pl poseł Dorota Olko.

– Oczywiście, że będziemy głosować za tym projektem, ponieważ uważamy, że emerytury stażowe są potrzebne. Osoby, które mają staż pracy: kobiety 35 lat, a mężczyźni – 40 lat, będą mogli starać się o taką emeryturę – powiedziała nam z kolei poseł Maria Koc z PiS-u.

– To jest postulat społeczny, postulat związków zawodowych, szczególnie związku zawodowego Solidarność. My go bardzo popieramy, zresztą już w ubiegłej kadencji na ten temat prowadziliśmy dyskusję. Cieszę się, że stanie pod obrady Sejmu i mam nadzieję, że większość sejmowa, która teraz ma głos decydujący, również poprze ten obywatelski projekt ustawy i emerytury stażowe jeszcze w tym roku wejdą w życie – dodała.

Dwa projekty, te same założenia

W ubiegłym tygodniu bliźniaczo podobny projekt dotyczący emerytur stażowych złożyli także posłowie Lewicy. Projekt również przewiduje możliwość przejścia na emeryturę stażową z chwilą, gdy kobieta ma 35 lat składkowych i nieskładkowych, a mężczyzna 40 lat.

Projekt, jak podkreślił na łamach Tysol.pl prof. Marcin Zieleniecki, ekspert „S”, nie różni się od obywatelskiego, jeżeli chodzi o przesłanki nabycia prawa do emerytury stażowej. – Różnice dotyczą jedynie kwestii technicznych związanych z mechanizmem ustalania wysokości emerytury stażowej oraz pośrednio także sposobem jej finansowania – powiedział nam prof. Zieleniecki.

Co jeszcze bardziej zaskakujące, moment złożenia projektu Lewicy zbiegł się w czasie z ustaleniem daty

Przedstawiciele NSZZ „Solidarność” przysłuchują się debacie

pierwszego czytania obywatelskiego projektu o emeryturach stażowych, który opracowała i złożyła w Sejmie w 2021 roku Solidarność. Ostatecznie oba projekty były czytane jeden po drugim w ubiegły czwartek.

– Projekt ustawy został napisany przez życie. Przez historię tysięcy osób – powiedział w ubiegły czwartek podczas prezentowania projektu prof. Zieleniecki, uzasadniając potrzebę wprowadzenia emerytur stażowych.

Mówił też o tym, że pod projektem podpisało się 235 tys. osób – wieloletni pracownicy, spracowani, ale także dzieci takich osób.

– To, co powiem za chwilę, dla wielu z Państwa może brzmieć znajomo, bo było to przedmiotem pierwszego czytania w poprzedniej kadencji – powiedział prof. Zieleniecki, podkreślając, że wówczas niemal wszystkie kluby parlamentarne poparły skierowanie go do komisji.

Sprawozdawca podkreślał też, jakie skutki niesie za sobą projekt.

– W pierwszym roku na emeryturę stażową mogłoby przejść nawet 400 tys. osób, w kolejnych byłoby to pomiędzy 63 a 83 tys. osób przy założeniu, że 100 proc. osób uprawnionych skorzystałaby z tego rozwiązania – tłumaczył.

Po przedstawieniu założeń do projektu przez prof. Zielenieckiego i dyskusji Sejm w ubiegły piątek rano zdecydował o przekazaniu projektu do prac w komisji sejmowej.

MOMENT ZŁOŻENIA PROJEKTU LEWICY ZBIEGŁ SIĘ W CZASIE Z USTALENIEM DATY PIERWSZEGO CZYTANIA OBYWATELSKIEGO PROJEKTU O EMERYTURACH STAŻOWYCH, KTÓRY OPRACOWAŁA I ZŁOŻYŁA W SEJMIE W 2021 ROKU SOLIDARNOŚĆ.

PRAWO

Konsekwencje ANTYDATOWANIA DOKUMENTU

Jestem zatrudniony w pewnym przedsiębiorstwie. Nasza firma budowlana zawarła umowę z dostawcą materiałów budowlanych w związku z realizacją ważnego projektu. Gdy termin dostawy materiałów zbliżał się do końca, przedstawiciel firmy budowlanej zauważył, że kluczowe elementy nie zostaną dostarczone na czas. Mój kierownik, obawiając się opóźnienia projektu, zdecydował się antydatować umowę w celu uniknięcia ewentualnych konsekwencji. Zasugerowałem, że **to jest niezgodne z prawem**, ale też nie fair w stosunku do naszego kontrahenta. Usłyszałem w odpowiedzi, żebym się nie przejmował, że nie pierwszy raz to robi i według niego wszystko jest w porządku. Czy tak rzeczywiście jest?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Antydatowanie umowy, czyli nadawanie dokumentowi prawnemu daty wcześniejszej niż faktyczna, stanowi zagadnienie o istotnym znaczeniu prawnym i etycznym. Choć w wielu przypadkach może wydawać się niewinną praktyką, to jednak niesie za sobą potencjalne konsekwencje prawne. Poniżej postaram się przybliżyć tę kwestię na podstawie przedstawionego przez Pana zdarzenia.

Antydatowanie umowy jest praktyką nielegalną i narusza podstawowe zasady prawa. Data umowy stanowi fundamentalny element jej skuteczności, a manipulacja nią może prowadzić do poważnych konsekwencji prawnych. W powyższym przypadku taka manipulacja może wpływać na określenie terminów realizacji projektu, a także na prawo do roszczeń w przypadku ewentualnych opóźnień.

Chcę zwrócić uwagę, że taka umowa nie jest zwykłym kawałkiem papieru, który można dowolnie zmieniać, aby tego dokonać, potrzeba wszystkich stron umowy i zazwyczaj odbywa się to w formie aneksu do umowy. W innym razie możemy mieć do czynienia z przestępstwem. Według art. 270 § 1 Kodeksu karnego: „kto, w celu użycia za autentyczny, podrabia lub przerabia dokument lub takiego dokumentu jako autentycznego używa, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”. Z kolei wyrok Sądu Apelacyjnego w Warszawie – II Wydział Karny z dnia 17 grudnia 2019 r. II AKa 197/19 wyjaśnia, że „dobrem prawnym chronionym przez art. 270 § 1 KK jest dobro ogólne w postaci wiarygodności dokumentów. Bezpośrednim przedmiotem ochrony art. 270 § 1 KK jest interes publiczny, a więc dobro ogółu, jakim jest powszechne zaufanie do dokumentów jako oryginalnych, a przez to wiarygodnych, co stanowi warunek niezakłóconego funkcjonowania obrotu prawnego”. Antydatowanie umowy narusza również zasadę dobrej wiary, która jest kluczowym elementem stosunków prawnych. Strony umowy powinny mieć pełne zaufanie do daty zawarcia dokumentu i przestrzegać uczciwości w relacjach biznesowych. Antydatowanie, jako działanie mające na celu wprowadzenie w błąd, stoi w sprzeczności z tymi podstawowymi wartościami.

Naruszenie zasad prawnych i etycznych w kontekście antydatowania umowy może skutkować

poważnymi konsekwencjami. Strony umowy mogą stracić zaufanie do siebie, a także stanąć w obliczu roszczeń prawnych. Antydatowanie umowy to działanie nie tylko nielegalne, ale również nieetyczne. W świetle prawa i zasad etycznych uczciwość i transparentność w umowach są kluczowe dla budowania trwałych relacji biznesowych. Każdy przypadek antydatowania powinien być traktowany z najwyższą powagą, a konsekwencje tego rodzaju działań powinny być dostosowane do stopnia naruszenia prawnych i etycznych norm.

RODZAJE PRZERW W PRACY

Sama idea stosunku pracy zakłada, że pracownik zobowiązuje się do wykonywania pracy określonego rodzaju na rzecz pracodawcy i pod jego kierownictwem oraz w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę. Czasem pracy jest z kolei czas, w którym pracownik pozostaje w dyspozycji pracodawcy w zakładzie pracy lub w innym miejscu wyznaczonym do wykonywania pracy. Z tego zestawienia wynika, że w trakcie określonego przez pracodawcę przedziału czasu obowiązkiem pracownika jest świadczenie pracy (a co najmniej pozostawanie w dyspozycji pracodawcy, czyli gotowości do jej świadczenia na polecenie pracodawcy).

Dr **Jakub Szmit**, główny specjalista w Zespole Prawnym KK NSZZ „Solidarność”

Ze szczegółowych przepisów dotyczących systemów i rozkładów czasu pracy wynika z kolei liczba godzin czasu pracy, którą pracownik ma przepracować w ramach doby czy tygodnia. W praktyce pracodawca ustala konkretne godziny rozpoczęcia i zakończenia pracy.

W efekcie, jeżeli z przepisów wynika, że pracownik ma w danym dniu pracować 8 godzin, a pracodawca zdecyduje, że praca ma być świadczona od 8 do 16, to formalnie rzecz biorąc, obowiązkiem pracownika jest ciągła praca w tym przedziale czasowym.

Oczywiste jest jednak, że ze względów czysto praktycznych nie jest możliwe, ażeby człowiek przez 8 godzin z rzędu wykonywał ciągle pracę. Owe względy praktyczne wynikają przy tym chociażby z kwestii fizjologicznych czy szerzej – biologicznych. Wystarczy w tym względzie wskazać chociażby konieczność spożycia posiłku, wypicia odpowiedniej ilości płynów czy też narastające znużenie i zmęczenie.

Stąd też prawodawca przewiduje konstrukcję przerw w pracy, tj. okresów które przypadają pomiędzy godziną rozpoczęcia i zakończenia pracy, w których jednakże pracownik nie musi pracować. Należy przy tym zauważyć, że kategoria przerwy w pracy nie jest jednolita, tzn. można wskazać różne rodzaje przerw, które różnią się tym, komu i za co przysługują, długością trwania czy też tym, czy są odpłatne czy nie.

W tym miejscu, ze względu na ramy artykułu, wskazane zostaną te rodzaje przerw, z których może korzystać najwięcej osób.

Na pierwszym miejscu należy zatem wymienić przerwy, o których mowa w art. 134 k.p., zgodnie z którym jeżeli dobowy wymiar czasu pracy pracownika: 1) wynosi co najmniej 6 godzin – pracownik ma prawo do przerwy w pracy trwającej co najmniej 15 minut; 2) jest dłuższy niż 9 godzin – pracownik ma prawo do dodatkowej przerwy w pracy trwającej co najmniej 15 minut; 3) jest dłuższy niż 16 godzin – pracownik ma prawo do kolejnej przerwy w pracy trwającej co najmniej 15 minut. Co ważne, przerwy te wlicza się do czasu pracy, a zatem są płatne.

Duże praktyczne znacznie ma także nałożenie na pracodawcę obowiązku zapewnienia co najmniej 5-minutowej przerwy, wliczanej do czasu pracy, po każdej godzinie pracy przy obsłudze monitora ekranowego. W przypadku kobiet w ciąży taka przerwa powinna trwać co najmniej 10 minut. Kolejną przerwą jest przerwa na karmienie dziecka piersią, a dokładniej rzecz biorąc – przerwy, gdyż pracownica ma prawo do dwóch półgodzinnych przerw tego typu w pracy wliczanych do czasu pracy (a jeżeli karmi więcej niż jedno dziecko, ma prawo do dwóch przerw w pracy, po 45 minut każda).

Z kolei przerwą, która nie jest wliczana do czasu pracy, jest nieprzekraczająca 60 minut przerwa przeznaczona na spożycie posiłku lub załatwienie spraw osobistych, którą pracodawca może (ale nie musi) wprowadzić w zakładzie pracy.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

SPORT

Szwecja opłakuje PIŁKARSKĄ LEGENDĘ

4 lutego we Florencji zmarł **Kurt Hamrin**. W listopadzie skończyłby 90 lat. Był wicemistrzem świata z 1958 roku, a także jednym z najlepszych strzelców w historii włoskiej Serie A.

Łukasz Bobruk

Opuściła nas jedna z największych ikon szwedzkiego futbolu. Spoczywaj w pokoju, Kurcie „Kurre” Hamrinie. „Kurre” Hamrin odegrał ważną rolę w zdobyciu przez Szwecję srebra w Pucharze Świata w 1958 roku. Jest legendą zarówno AIK, jak i Fiorentiny dzięki swoim wysiłkom klubowym. Nasze myśli są z rodziną i przyjaciółmi Kurta. Dziękuję „Kurre” za wszystkie niebieskie i żółte wspomnienia, które pomogłeś stworzyć tak wielu osobom – tak na platformie X napisała Szwedzka Federacja Piłkarska. „Prezydent Commisso, jego rodzina, zarząd i cała Fiorentina łączą się w bólu rodziny i całego piłkarskiego świata z powodu śmierci Kurta Hamrina, legendy futbolu i Fiorentiny, której jest rekordzistą pod względem liczby bramek zdobytych w fioletowych barwach. Hamrin był i zawsze będzie prawdziwą legendą dla wszystkich fanów piłki nożnej, a zwłaszcza fanów Fiorentiny” – napisał klub z Florencji w specjalnym oświadczeniu.

HAMRIN BYŁ OSTATNIM ŻYJĄCYM PIŁKARZEM, KTÓRY GRAŁ W FINALE MISTRZOSTW ŚWIATA 1958.

Kurt Hamrin przyszedł na świat 19 listopada 1934 roku w Sztokholmie. Kopać piłkę zaczął w tamtejszych klubach Huvudsta i Råsunda, a w wieku 15 lat znalazł się w AIK. Do pierwszego zespołu „Gryzoni” dołączył niedługo po uzyskaniu pełnoletności i stał się tam wyróżniającym zawodnikiem. W 1955 roku został królem strzelców szwedzkiej ekstraklasy, zdobywając 22 gole w tyluż kolejkach. Łącznie dla AIK w 62 spotkaniach ustrzelił 54 bramki i w pewnym momencie rodzima liga okazała się dla niego za mała.

Skrzydłowy ten obrał zatem kierunek na Włochy – modny wówczas dla szwedzkich piłkarzy, gdyż na Półwysep Apeniński wcześniej wyruszyli tacy gracze jak Lennart Skoglund, Gunnar Nordahl, Gunnar Gren czy Nils Liedholm. Pierwszym klubem z Italii, w którym występował Hamrin, był Juventus. Tam spędził jeden sezon, a w 23 meczach zdobył 8 goli. Również jeden sezon rozegrał w Padovie (30 występów i 20 trafień). Za to w 1958 roku trafił do drużyny, z którą najdłużej był związany jako piłkarz – Fiorentiny. Spędził tam aż 9 lat. W tym czasie zrobił bardzo wiele, by zostać zapamiętany jako legenda „Violi”. W 1961 roku z tym klubem wywalczył dwa pierwsze trofea – Puchar Włoch i Puchar Zdobywców Pucharów, który rozpoczynał swoje trwające do 1999 roku funkcjonowanie. Szwed został nawet królem strzelców inauguracyjnego sezonu, pięciokrotnie znajdując drogę do bramki rywali. Cztery trafienia zanotował przeciwko szwajcarskiej Lucernie, a ostatnie w wygranym finałowym dwumeczu z Glasgow Rangers. Fiorentinę prowadził wówczas członek słynnej węgierskiej „Złotej Jedenastki” Nándor Hidegkuti. Sezon później „Fioletowi” byli bliscy powtórzenia sukcesu, lecz w finale na drodze stanęło im Atlético Madryt. Hamrin strzelił gola hiszpańskiej drużynie w meczu zremisowanym 1:1. Jako że wówczas nie znano serii rzutów karnych, spotkanie powtórzono cztery

miesiące później i to Atlético zwyciężyło 3:0. Zatem na kolejne trofeum trzeba było poczekać do 1966 roku, gdy znów udało się zatriumfować w Coppa Italia. W wydatny sposób przyczynił się do tego, zostając królem strzelców rozgrywek. Ostatecznie Szwed opuścił Fiorentinę w 1967 roku w blasku chwały – żaden z zagranicznych piłkarzy nie rozegrał więcej meczów dla tego klubu (362), a i nikt nie wbił dla „Violi" więcej bramek (209).

W AC Milan spędził dwa lata. Tam jego gwiazda już nie świeciła takim blaskiem, mimo to uzupełnił swoją listę sukcesów o mistrzostwo Włoch (1968) i kolejny Puchar Zdobywców Pucharów (także 1968), w finale strzelając dwa gole w wygranym 2:0 z Hamburgerem SV pojedynku. Sezon później udało mu się zwyciężyć w Pucharze Mistrzów, lecz w triumfatorskiej edycji wbił gola jedynie broniącemu trofeum Manchesterowi United w półfinale. Potem odszedł do Napoli, gdzie jedynie odcinał kupony, a karierę piłkarską zakończył w 1972 roku w rodzinnym mieście w IFK Sztokholm.

Hamrin nie osiągał sukcesów jedynie w Serie A, gdzie strzelił 190 bramek w 400 występach. Z reprezentacją również osiągał przyzwoite rezultaty. W narodowych barwach debiutował w 1953 roku w przegranym 0:2 starciu z Belgią w Brukseli. Pierwszą bramkę zdobył zaś z silnymi Węgrami w pojedynku, zakończonym remisem 2:2 w Budapeszcie. Co ciekawe, w latach 1956–1961 był pomijany w powołaniach do reprezentacji.

KURT HAMRIN NAJWIĘKSZE SUKCESY OSIĄGAŁ W FIORENTINIE. STRZELIŁ DLA FIOLETOWYCH NAJWIĘCEJ GOLI W HISTORII.

Wyjątkiem był rok 1958, gdy Szwecja gościła mistrzostwa świata. Zakończyły się sukcesem „Blagult", którzy wywalczyli wicemistrzostwo. Na mundialu strzelił cztery gole. Dwa z nich ponownie zainkasował przeciw Węgrom (2:1), a po razie pokonywał bramkarzy Związku Radzieckiego (2:0) i Niemiec Zachodnich (3:1). W finale za silna okazała się Brazylia, która rozbiła gospodarzy aż 5:2. I choć po golu Liedholma Szwedzi prowadzili już od 4. minuty, to „Canarinhos" w składzie z takimi gwiazdami jak Vava, Garrincha, Zagallo, Didi czy młodziutki Pelé w porę wzięli się do pracy i w efektowny sposób zgarnęli swój pierwszy Puchar Świata. Warto tutaj odnotować, że Kurt Hamrin był ostatnim żyjącym uczestnikiem granego na Solna Råsunda finału. Jego reprezentacyjny bilans to 32 mecze i 17 goli.

Ze względu na kreatywność, szybkość i gracje w poruszaniu się po boisku Hamrin był nazywany „Małym Ptaszkiem" (mierzył 170 cm wzrostu). Po zakończeniu kariery krótko trenował klub Pro Vercelli, lecz szybko dał sobie z tym spokój. Do końca życia mieszkał z rodziną we Florencji. W latach 1998–2008 pracował jako skaut w Milanie. W 2012 roku wszedł do galerii sław Fiorentiny, a dwa lata później otrzymał specjalną nagrodę od UEFA.

Cześć jego pamięci!

Fot. Roberto Jayme / Reuters / Forum

Kurt Hamrin i Pelé podczas uroczystości upamiętniających 50. rocznicę zwycięstwa Brazylii w Pucharze Świata; Brazylia, 26 czerwca 2008 r.

Cezary Krysztopa

Słownik na dobranoc

W trudnym dziele ojcostwa nie zawsze odnosiłem sukcesy. Wprawdzie w modnych księgarniach można znaleźć na ten temat mnóstwo „poradników", ale nie gniewajcie się, jakoś nie bardzo mam do nich zaufanie.

Czasem jednak udaje mi się odnotować niewątpliwy sukces. I tak, wybaczcie tę zarozumiałość, za sukces poczytuję fakt, że ze Średnim czytamy książki. Trochę czytam ja, trochę czyta on, ale w czasach, kiedy dzieci „czytają" głównie, lub wręcz wyłącznie, komunikaty w grach na telefonie, fakt, że Średni chce z tatą poznawać historie spisane na papierze, uważam, za coś wyjątkowego.

Nie znaczy to, że Średni jest wolny od pokus dotykających współcześnie chyba wszystkie dzieci, ale pochwalę się Wam, że chociaż lubi „Gwiezdne Wojny", to pytany o to, czy woli wieczorem obejrzeć kolejną część, czy poczytać książkę, odpowiada, że chce poczytać. I muszę powiedzieć, że choć i ja nie jestem wolny od gwiezdnowojennego sentymentu, to wzrusza mnie to, nawet kiedy to piszę.

I tak przeczytaliśmy już wiele książek daleko wykraczających poza poziom wyznaczony obecnymi głupiutkimi „lekturami obowiązkowymi" (czy w ogóle będą jeszcze jakieś lektury obowiązkowe, czy dzieci będą już tylko malowały drwala?). Mamy za sobą odsądzonych od czci i wiary „Chłopców z Placu Broni", zapomniany „Sposób na Alcybiadesa" Niziurskiego, którym Średni był absolutnie zachwycony, czy wszystkie części „Opowieści z Narni", w trakcie czytania których jesteśmy. I wiele innych.

I absolutnie nie jest to czytanie mechaniczne. W trakcie „Chłopców z Placu Broni" obydwu nam drżały głosy. Podczas czytania „Sposobu na Alcybiadesa" Średni analizował przydatność metod wypracowanych przez kilka roczników opisywanej przez Niziurskiego szkoły, w jego własnej szkole i na jego własnych nauczycieli. „SPONAA" Wątłusza i „Szekspira", służąca wpływowi na prof. Misiaka wydała mu się genialnym pomysłem, który z całą pewnością pomoże mu przejść spokojnie przez lata szkoły podstawowej. Z kolei w „Opowieściach z Narni" kompletnie „utonął", pasjonując się przygodami ich kolejnych bohaterów i dyskutując ze mną na temat ich chrześcijańskiego przesłania.

Ale to jeszcze nic, bo najlepsze zostawiłem sobie na koniec. Otóż ostatnio Średni zażyczył sobie czytania przed snem... Słownika Języka Angielskiego. Nie takiego słownika, jaki wyobrażamy sobie w pierwszej chwili, ale takiego dla dzieci, z obrazkami, uporządkowanego tematycznie. Natomiast mimo wszystko słownika.

I jest w tym bardzo konsekwentny. Czytamy przed snem, nawet mnie to usypia, a ten jeszcze pyta: „Czy możemy przeczytać jeszcze jeden rozdział?". I muszę powiedzieć, że tutaj czuję się już nieco rozdarty, ponieważ z jednej strony to oczywiście bardzo pożyteczne i ambitne, poznaje nowe słówka, uczy się angielskiego (ja sam zawsze byłem kiepski w nauce języków, jedyny, którego nauczono mnie skutecznie, to rosyjski), no ale jednak... to słownik.

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**

Michał Rachoń w swoim sztandarowym porannym programie rozmawia z zaproszonymi gośćmi o bieżących wydarzeniach i najważniejszych tematach ostatnich godzin w polskiej polityce.
REPUBLIKA
#JEDZIEMY
@michalrachon
Od poniedziałku do piątku
7:10
w Telewizji Republika
RepublikaTV
@RepublikaTV
Telewizja Republika
@RepublikaTV

NIEZALEŻNY
PORTAL INFORMACYJNY
POLITYKA SPOŁECZNA ŚWIAT PRACY GOSPODARKA BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYKA
100 PROC.
POLSKIEGO
KAPITAŁU
TRADYCJI I WARTOŚCI
tysol.pl

Zakupiono w NEXTO: 4029529